Nr. 11. Lwów, dnia 1. Listopada 1889. Rok XII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

†

KAZIMIERZ Hr. WODZICKI.

Krepą osłaniamy sztandar łowiecki...

Z szeregów naszej drużyny myśliwskiej ubył najpierwszy. Każdy odda hołd pamięci jego jako wodza, a sztandar żałobny słania się na znak wiecznego pożegnania...

Badacze przyrody patrzą załzawionym wzrokiem ku temu wiejskiemu cmentarzykowi, który przyjął na wieczny spoczynek jednego zajwiększych miłośników przyrody, prawdziwego uczonego, który umiał patrzeć okiem ducha w tajniki życia zwierzęcego i odtwarzać obrazy tegoż, pełne uroku i harmonijnego związku z całym Bożym światem...

Rolnicy opłakują zgon jednego z najzapobiegliwszych, najroztropniejszych, pilnującego skiby ojczystej z czujnością żórawia a wytrwałością pszczoły, co nie spocznie, dopóki ula rodzinnego nie obsłuży.

Lud wiejski płacze nad mogiłą pana sprawiedliwego, umiejącego pomóc w potrzebie, a zgromić za niedbalstwo.

Cały kraj czuje, że stracił jednego z najlepszych, z najzacniejszych swych synów.

* * *

Ś. p. Kazimierz z Granowa hr. Wodzicki urodził się 26. września 1816. r. a zmarł w nocy z d. 20. na 21. października r. b. Pogrzeb odbył się d. 23. października w Olejowie, w powiecie Złoczowskiem, gdzie zmarły przebył długie lata, gospodarując wzorowo i oddając się z zamiłowaniem studyom natury i łowiectwu. Pogrzeb ów zgromadził liczne zastępy wszystkich warstw naszego społeczeństwa, wysokich dostojników kraju, posłów sejmu, duchowieństwa obu obrządków, szlachty i ludu wiejskiego i stał się

wymownym hołdem, jaki kraj złożył u grobu słynnego badacza i zacnego obywatela.

Ś. p. Kazimierz Wodzicki zaślubił Laurę z hr. Broel-Plater, a owdowiawszy, poślubił w r. 1858. Józefę hr. Dieduszycką, i zostawił z pierwszej żony córkę Maryę, zaślubioną Mieczysławowi hr. Borkowskiemu, Karolinę, zaślubioną Stanisławowi Garapichowi, Laurę, zaślubioną Michałowi Garapichowi i syna Piotra; z drugiej zaś żony sześcioro dzieci, między któremi Antoniego, ożenionego z hr. Wodzicką, córką Alfreda z Wołynia.

W długiem życiu swojem zajmował śp. Kazimierz Wodzicki różne zaszczytne stanowiska, posłował do sejmu i do Rady państwa, przewodniczył Radzie powiatowej złoczowskiej, pełnił ochotnie służbę obywatelską, gdzie go tylko powołano — z największem atoli zamiłowaniem oddawał się badaniom natury i łowiectwu, w najszlachetniejszem tego słowa pojęciu.

Pisma krajowe pożegnały zmarłego wspomnieniami, pełnemi rzewnej serdeczności i pietyzmu.

Gazeta Narodowa tak o zmarłym wspomina:

„Z każdym dniem ubywają naszemu społeczeństwu postacie dawnego zakroju, pełne oryginalności i cech narodowych, nie czerpiące z obcych wzorów, lecz suujące wszystko z siebie i z tej ziemi rodzinnej, którą całem sercem ukochały. Jedną z najoryginalniejszych, a górujących wysokiemi zaletami umysłu, była postać śp. Kazimierza Wodzickiego. Miłośnik przyrody i patryota tworzyli w nim całość nierozdzielną; w ziemi ojczystej wyszukiwał on takie piękności i odgadywał takie zagadki przyrody, jakich nie byłby dostrzegł nikt, ktoby równie gorąco nie kochał Ojczyzny i przyrody. Stał się też badaczem i pisarzem na wskróś oryginalnym.

„Podstawą do studyów było u Kazimierza Wodzickiego głębokie wykształcenie przyrodnicze, zaczerpnięte z licznych ksiąg i podróży — główną wszakże wartość pism jego stanowi badanie bezpośrednie, wysoko rozwinięty zmysł dostrzegawczy i podglądanie tajników przyrody, ku czemu służyło mu nadzwyczajne zamiłowanie w łowiectwie.

„Myśliwi tracą w śp. Wodzickim niedościgniony i niepodobny już dziś do naśladowania wzór myśliwego. Nie był to ów łowiec, który w wytwornym kostiumie i z tysiącem przyborów wybiera się na istną rzeź łownych zwierząt, ale myśliciel, który z bronią na ramieniu zapuszcza się w tajemnicze mroki kniei, aby tam śledzić, uczyć się, podziwiać wszechmoc Twórcy w jego tworach. Dzierżawiąc przez długie lata prawo polowania w lasach skarbowych i fundacyi Skarbkowskiej, znikał czasem na całe tygodnie w głębi lasów, sam, z manierką i kromką chleba w kieszeni, ze strzelbą przez ramię i z nieliczną tylko służbą. Z tych to wycieczek i gruntownych studyów przyrodniczych powstawały jego pisma, necechowane głęboką znajomością rzeczy, a odznaczające się stylem tak żywym i oryginalnym, tak pełnym siły obrazowania, jak u mało którego z pisarzy.“

W temże samem piśmie zamieścił obszerniejsze wspomnienie o zmarłym bliski jego krewny a znakomity pisarz hr. Wojciech Dzieduszycki. Tak o nim mówi:

„Nieraz mi wpadało na myśl, że gdyby książę biskup warmiński, zmartwychwstawszy, szukał pośród dzisiejszego społeczeństwa naszego typu normalnego szlachcica polskiego, który byłby objął spadek po panu Podstolim, byłby zaszedł do Olejowa i byłby się zatrzymał przed śniadą i smukłą postacią o czarnej do niedawna brodzie, a przenikliwie żywym wzroku, suchą i pochyloną. W domu wykonywał w pełni królewskość ojcowską, wobec dzieci i sług z powagą, która się niektórym wydawała wyniosłością, ale z ojcowskiem wyrozumieniem potrzeb każdego domownika, któremu pomagał zawsze rozumnie, zdobywając sobie po jakimś czasie szczere przywiązanie i zupełne zaufanie każdego. Strzegł bacznie staropolskiego obyczaju i tak ducha jak litery wiary przodków. Włościan we wszystkich wsiach swoich znał osobiście, przyświecał im przykładem, wspierał radą i czynem. Przez długi szereg lat był prezesem Rady powiatowej w Złoczowie i był podobno jednym z najlepszych. Nie należał do tych, którzy odrazu serdecznością i jakąś siłą sympatyczną do siebie przyciągają, ale zmuszał do najgłębszego poważania wszystkich tych, którzy go spotykali.

„Wjeżdżając z okolicznego stepu w Olejowszczyznę, wnet poznawał podróżny, iż wjeżdża w okolicę, w której ręka rozumu gospodarna i dobroczynna od wielu lat działa. Lepsze tu chaty, inne przy chatach sady, lud zamożniejszy, role staranniej uprawne, a dworskie gospodarstwo wszędzie takie, jakie w cywilizowanym świecie bywa. Słynna owczarnia, zawód poprawnych koni gospodarskich, wspaniała krowiarnia w Białogłowach, wszędzie wszystkie budynki gospodarskie we wzorowym stanie, świadczyły o niezmordowanej pracy i niepospolitym rozumie administracyjnym.

„Ale człowiek nie samą tylko pracą około chleba powszedniego żyje, żyje także chwałą bożą, o której Wodzicki pamiętał nieustannie, żyje także rozrywką godziwą, bez której wreszcie umysł zardzewieje, a serce stwardnieje. To też Wodzicki umiał hetmanić w szlachetnej zabawie, nie balom stołecznym, na których sadzą się tylko ludzie na to, jakby mogli jedni drugich upokorzyć widokiem niezdrowego zbytku. nie grze w karty bezmyślnej a gnuśnej, ilekroć nie bywa zgubną, ale owej rycerskiej zabawie, w której przodkowie nasi w czasie pokoju szukali orzeźwienia ciała i odświeżenia umysłu: myśliwstwu.

„Dniami całemi, tygodniami, przewodził w kniei młodym i starym, panom i kmieciom, obcując z matką przyrodą, odrywając od zniewieściałych zawiści życia dzisiejszego, ucząc, jak można się bawić na wsi i w domu, jak można wieczorem dwór wiejski ożywić po całodziennej zabawie ze zwierzem. Nie o tem wspomnę, wiele dzików, rysiów, niedźwiedzi zabił Wodzicki, bo o to mniejsza, o tem wspominam tylko, iż umiał ludzi gromadzić przy godziwej a dzielnej zabawie i o tem wspomnę, że to myśliwstwo było u niego myśliwstwem na prawdę, bo gdy chodził po lesie, myśl jego biegała po pniach i konarach, po zrębach i parowach, odgadując tajniki życia, które się kryje w gąszczy. Nie na to tylko chodził Wodzicki po lesie, aby czas zabijać i strzelać celnie; przypatrywał się przyrodzie, badał ją, spowiadał. A potem ptak każdy, zwierz każdy, obyczajem swoim przypominał mu ludzi i wśród ciszy leśnej stawało przed jego okiem społeczeństwo całe i sądził je w spokoju, wsparty o strzelbę. W oczach miał przyrodę i cuda wielkie, które Bóg uczynił w przyrodzie, a w sercu miał zawsze Ojczyznę i cuda, które kiedyś Bóg w niej uczyni.

„A gdy powrócił do domu, gdy gości pożegnał, a znalazł chwilę przerwy pośród wielu zajęć olejowskich, szedł do pokoju swego i brał w rękę pióro, które przed dwomaset laty wypadło z rąk pana Jana Chryzostoma Paska. I pisał o tem, co robił, co widział, co myślał, siedząc u siebie w Olejowie. Pisał, jak trzeba owce chować i prowadzić gospodarstwo z dobrym skutkiem, o tem, co się należy robić w sprawach powiatów i gmin naszych, o tem, jak to bociany sejmują, jak się rządzą i sądzą, co orły robią, kiedy

szybują po błękitnem niebie, czemu to kukułka bywa zalotną i niewierną, jakto wróbel kocha do zbytku zapalczywie, a jak kruk kradnie mądrze i przebiegle, niezbyt wiele dbając o obmowę swachny sroki, a z tego wypływały dalej uwagi o tem, jak ludzie postępują u nas w Polsce, jacy bywają mężowie a jakie żony, jak się u nas bliźniemu zajrzy, gdy nieco nad poziom wyrośnie, jakie plotki, jakie swary, jakie skargi i jakie modły słychać po starej przodków naszych dziedzinie.

„Kazimierz Wodzicki gdy pisał, nie pisał ani jako uczony, ani jako literat z zawodu. Pisał, bo miał coś powiedzieć nieco głośniej, tak, aby go słyszeli dalsi także, a nie ci tylko, którzy razem z nim w jednym przebywali pokoju, pisał skromnie, bez emfazy i afektacyi i przeto wielu u nas czytając, nie zdawało sobie sprawy z tego, jaką stałą i wielką wartość posiadały pisma Kazimierza. Czytelnika bawiło wielce to, co czytał, wzbudzało w nim myśl niejedną nową a zbawienną. Cieszyło poetycznym opisem przyrody a naturalnie i potoczystym tokiem słów i myśli, i zdawało się czytelnikowi, iż rozmawia z panem Wodzickim i dlatego może niejeden nie zrozumiał, że to Wodzicki tak pięknie pisze.

„A już o tem zgoła mało kto u nas wiedział, iż Wodzicki jest znakomitym uczonym. Na to, aby się o tem dowiedzieć, trzeba zajrzeć do książki ornitologicznej, pisanej w obcym języku, i przekonać się, że najznakomitsi badacze Europy kapelusz zdejmowali z ruchem pełnym poważania, ilekroć im przyszło wspomnieć o spostrzeżeniach rolnika z Olejowa.

„Pierwszy pan Jan Chryzostom Pasek rozmawiał ze zwierzęty tak poufale, jakby z panami bracią, później, w naszym już wieku, żyli u nas tu pod Karpatami dwaj uczeni, którzy zadziwili narody ościenne darem badania życia zwierzęcego. Myśmy nie umieli ich cenić jak się należało, nie zanosiliśmy ich do panteonu narodowego, nie dowierzaliśmy ich nauce, skoro nie była suchą jak kompatura niemiecka, skoro nie była dyplomowaną i ubraną w biret i w togę, myśleliśmy, że ich zajęcia, to tylko godzina zabawki, a jednak było inaczej. Konstanty Pietruski, z mniejszym talentem pisarskim od Wodzickiego, potrafił odkryć tajniki życia zwierząt, o których sądzono, że ich chyba nikt nie zbada. Tak się spoufalił z zwierzem leśnym, iż borsuk był wobec niego tak otwartym, jak wobec innego borsuka, a niedźwiedź tak szczerym jak wobec innego niedźwiedzia. Zaglądał do nor zwierząt drapieżnych i spędzał z nimi dnie i noce swoje; nie opisał kości i sierci zwierzęcej, bo to i Niemiec także potrafi, ale opisał zwierząt drapieżnych obyczaj domowy, a tego przed nim nie potrafił nikt. Podobnież Wodzicki latał wraz z ptactwem niebieskiem, radził wraz z nim, sejmował wraz z nim, przypatrywał się jak gniazda buduje, bywał ptaków i swatem i kumem, i zdobywał sobie w Europie w świecie uczonym powszechne uznanie, którego się u nas nikt prawie nie domyślał. Wiedzieliśmy o tem, że Wodzicki przyjemnie pisze o ptakach, wiedzieliśmy, że darował akademii w Krakowie bogate ornitologiczne zbiory, lecz nie wiedzieliśmy, że jego pisane gawędy, które tak naturalnie wypływały z zajęć wiejskiego gospodarza i zawołanego łowca, były pomnikami nauki głębokiej a oryginalnej, nauki, której nowość i siła wynikały z naszego charakteru narodowego, raczej skłonnego badać psychologię, jak fizyologię zwierzęcą, a zakochanego we wsi i we wiejskim wczasie.“

Ludwik hr. Dębicki, w życiorysie, zamieszczonym w *Czasie* tak pisze:

„Kazimierz Wodzicki okiem poety i filozofa patrzał w przyrodę, a pozostał człowiekiem europejskiej kultury tak pod względem towarzyskim, jak i naukowym, w pismach swych późniejszej epoki był nietylko ornitologiem, ale i socyologiem, umiał ze świata zwierzęcego i rzeczypospolitej ptaków czynić wycieczki w stosunki ludzkie w ogóle, a naszego społeczeństwa w szczególności. Badacz przyrody naukowo wykształcony, a zbierający skrzętnie i bystro własne obserwacye, nie został specyalistą, pedantem i pozytywistą, ale dziwnie artystycznem usposobieniem stworzył nowy rodzaj literatury, który pod względem formy przypominał niektóre książki historyka francuskiego Micheleta, gdy ten pisał także o ptakach lub owadach. Ale Michelet był niedowiarkiem i radykałem — Wodzicki miał filozofię chrześcijańską i uczucie nawskroś gorąco polskie.

„Kazimierz Wodzicki słynął jako myśliwy — w czasach sportu rzecz to dość pospolita, ale jest sport, co ma cechę kosmopolityczną, co jest nałogiem kosztownym, a często tylko naśladownictwem, i jest szlachetna namiętność łowów, co zachowuje coś ze starych, rycerskich tradycyj naszego narodu, a zarazem ma pobudkę naukową, a polot poetyczny. Tego rodzaju myśliwym był Wodzicki.“

Tenże sam biograf podnosi także towarzyskie zalety zmarłego.

„Kazimierz Wodzicki — pisze on — był jedną z najsympatyczniejszych, a bardzo typowych postaci niezwykłej miary. W rodzinie Wodzickich przymioty towarzyskie są dziedziczne. Atmosfera wielkiego świata w najlepszem tego słowa i najwykwintniejszem znaczeniu, kultura europejska, dowcip, niezwykły dar rozmowy, łatwość i równość w stosunkach — to wszystko, co ujmuje swoich, a obcych pociąga — to zalety rodowe, któreby można zapisać pod godłem herbowem, jak to ongi czynił Rey, charakteryzując domy szlacheckie, a nie myląc się prawie nigdy. Dodać by jeszcze należało przymioty polityczne: miarę, takt, jakiś zmysł dyplomatyczny, połączony z prostotą, a w zasadach stałością. Człowiekiem wielkiego świata, mężem parlamentarnym na miarę europejską, był zwłaszcza Henryk Wodzicki. Młodszy brat jego Kazimierz miał te same dary — ale obok tego, co daje salon, zaczerpnął jeszcze pełną piersią to, co daje obcowanie z naturą. Z tych dwóch pierwiastków utworzyła się organizacya umysłowa bogata i świetna. W obcowaniu, jak w pismach, tryskały naprzemian te dwa źródła, te, co głębszą wiedzą, artystycznym smakiem, wychowaniem i kulturą płyną ze świata i te, co poezyą, filozofią natury, intuicyą pierwotną, otwierają się tylko tym, co wiele z przyrodą obcują.“

* * *

Do tej wymownej charakterystyki śp. Kazimierza Wodzickiego pozostaje nam tylko dodać, że ze zgonem znakomitego badacza, łowcy i pisarza, padła także najdostojniejsza podpora *Łowca*. Od lat jedenastu wspierał zmarły pismo nasze radą i czynem, zamieścił w niem wiele najpiękniejszych swych rozpraw, otaczał usiłowania nasze serdeczną życzliwością i opieką, zachęcał do dalszej pracy i do dźwigania sztandaru łowieckiego w imię poważnych badań, ochrony zwierząt łownych i obywatelskiej czujności nad całym tym działem krajowego gospodarstwa.

Dziś martwą już jest dłoń, która nam niosła pomoc i uścisk serdeczny. W ostatnim z listów, pisanych do nas 15. lipca b. r., tak się żalił hr. Wodzicki: „Jestem prastary, od lat czterech niedomagam, a od pięciu miesięcy jestem

chory. *Mens sana in corpore sano* — a u mnie czuć się daje osłabienie umysłu i pamięci, z których nigdy nie wypędzałem *Łowca* i przyznaję się, że począłem pisać o zdolnościach umysłowych zwierząt, wszakże przestać musiałem. Publiczność nasza przesadnie mi była życzliwą i dla mych prac pobłażliwą; nie chciałbym jakim lichym płodem rzucić cień na ostatni utwór... „Pan Michał“ ma jedną zaletę, że jest w pełni Polakiem bez naleciałości kosmopolitycznych i jako takiego zachowamy go w pamięci.“

Szczerością, prostotą i ową bezstronnością przyrodnika, który wraz z przyrodą i siebie jako jej przedmiot ocenia, tchną powyższe wyrazy. Były one ostatniemi, któreśmy otrzymali od hr. Wodzickiego... Od tej chwili zapadał coraz bardziej, ręka z coraz większą trudnością chwytała za pióro, wreszcie zmartwiała na zawsze...

„Pan Michał“, o którym hr. Wodzicki w powyższym ustępie listu wspomina, był ostatnią jego pracą, ostatnią z rzędu, lecz jedną z najpierwszych i najcelniejszych w długim szeregu prac tego pisarza. Pojawiła się najprzód w ostatnich miesięcznikach *Łowca* z r. 1888. a następnie w osobnej odbitce.

Czytaliśmy ją wszyscy z żywem przejęciem, z rozkoszą gorących serc myśliwskich i tak, jak chciał autor, „zachowamy w pamięci“.

Działalność pisarska śp. Wodzickiego datuje się od lat blisko czterdziestu. Świat ptaków był dlań najulubieńszym, to też najliczniejszemi są jego prace ornitologiczne. W roku 1850. zamieścił w Bibliotece warszawskiej „Systematyczny spis ptaków, uważanych w dawnej ziemi krakowskiej“, gdzie zrazu przemieszkiwał. W roku 1851. drukował w Lesznie „Wycieczkę ornitologiczną w Tatry“, w r. 1852. „O wpływie, jaki wywierają ptaki na gospodarstwo“. Ogólną wszakże uwagę na naszego przyrodnika zwróciły dopiero „Zapiski ornitologiczne“, które ś. p. Wodzicki począł zamieszczać w „Dodatku do Czasu“. Obejmują one następujące monografie: 1. Bociany. 2. Jaskółka. 3. Jastrząb gołębiarz. 4. Kuropatwa. 5. Wróbel domowy. 6. Kruk właściwy. 7. Kukułka-Czeczotka. 8. Słonka, (drukowana w *Łowcu* rocznik 1886.). 9. O orłach.

Osobno drukował Wodzicki obszerniejszą pracę „O sokolnictwie i ptakach myśliwskich“ (1858.). Roczniki *Łowca* mieszczą nadto wielką liczbę rozpraw, opowiadań, korespondencyi i monografii zwierząt łownych. Czytelnikom naszym przypominamy tu najważniejsze: „Polowanie na niedźwiedzie w Karpatach“ (1879.). „Wspomnienie z łowów na dziki“ (1886.). „Szczególne wypadki z rogaczami“ (1881). „Spotkanie“ (1884.). „Bywało i u nas wesoło“ (1884.). „Pogadanka myśliwska“ (1885.). „Noc zimowa w górskim lesie“ (1887.). „O wilkach“ (1878.). „Legawiec“ (1879.). „Zając“ (1881.). „Ruja sarn“ (1883.). „Łasica pospolita (1887). „O rogaczu“ (1887.). „Wskazówki moralnej organizacyi u zwierząt“ (1881.).

Spostrzeżenia naukowe o ptakach zamieszczał także śp. Wodzicki w fachowych pismach niemieckich Stowarzyszeń przyrodniczych, których był członkiem. Należą tu: *„Der Vogel-Zug im Frühjare 1855.“*, *„Ueber Musicicapa parva u. einige Colomoherpen“*, *„Einige Worte ueber die Fortpflanzung des Rallus aquaticus“* i inne.

W szeregu broszurek dla ludu, wydawanych przez „Macierz“, zachęcał włościan do ochrony pożytecznych zwierząt i w ogóle większego szanowania tworów bożych p. t. „Kochajcie przyrodę!“

Lecz na studjach przyrodniczych nie kończyła się praca Kazimierza Wodzickiego. W r. 1853. ogłosił oddzielne „Vademecum dla owczarzy“, mieszczące w swej obszernej przedmowie nadzwyczaj cenne uwagi o całem gospodarstwie krajowem, a prócz tego inne broszury z zakresu ekonomii jak: „Własność i służebnictwo w Galicyi (1867.) i „O kredycie w Galicyi“. Nakoniec próbował także sił swoich w zakresie beletrystyki i pod pseudonimem Kazimierz Olejowski wydał we Lwowie w r. 1874. powieść p. t. „Teresa“.

St.

BEZJAZYKI.

Opowiedział

ALEKSANDER UBYSZ.

W górach Samborskich mieszkając, wybrałem się do sąsiedniej wsi Jasionki masiowej, w celu odwiedzenia znajomego mojego ś. p. K. O. Mieliśmy zapolować, a później pojechać do Rybnika, gdzie był podówczas największy w tych stronach tartak parowy. Stała lokomobila poruszała 12 pił, cyrkularkę, heblarkę i przeróżne przyrządy.

Była to późna jesień, po zwyczaju dżdżysta, więc drogi, jakkolwiek nie brak kamieni i żwiru, wielce utrudniały komunikacyę wozem. Toż najczęściej jeździ się tam wierzchem.

Po nieudałem polowaniu w sobotę, puściliśmy się z O. wierzchem do Rybnika. A była to niedziela. Rybnik leży w samym Beskidzie samborskim. Miejscowość, a względnie tartak wonczas ciemnym otoczony był lasem. Dziś, jak słyszałem, zniknął ciemny bór, pożarł go bowiem tartak parowy.

Dojazd do samego tartaku nie należał do łatwych i wygodnych.

— Wieziesz mnie jak szatani duszę, skazaną na męki — mówiłem do towarzysza, jadąc tam wózkiem po raz pierwszy.

Miejscami wiodła drożyna ciemnym borem. Promienie słoneczne, nie dochodzące nigdy przez gęsto rosnące świerki, miejsc tych nie oświecały, więc wiecznie zalegało tam błoto, albo wśród długo trwałej posuchy, na pół wilgotna glinka, ślizgą była. jakby ją kto powlókł mydłem. Konie pod każden stromszy pagórek ślizgały się i na ziemię padały.

Jedziemy wierzchem obydwa. Zbliżamy się nareszcie do rodzaju Rubikonu, który, kto chciał do Rybnika się dostać, przebyć musiał. Rubikonem tym była wąziuchna drożyna w połowie dużej góry, chyba że stopą ludzką lub

kołami wozów utworzona, nigdy zaś ręką ludzką. Spodem góry, o jakie 40 stóp od drożyny, huczał po skalistem dnie spieniony potok górski. Od strony góry, po nad drożyną tu i tam zwisały olbrzymie głazy, tak, iż małym wózkiem góralskim jadący człowiek, żeby czołem o głazy zwieszające się nie uderzyć, dobrze kurczyć się musiał.

Dla konno jadącego, był przejazd niemożliwy. Wiedzieliśmy o tem, więc zsiadamy z koni.

Już się zbliżamy do pierwszego kamiennego baldachimu, naraz słyszymy jakiś nieludzki głos. Wyznam otwarcie, że usłyszawszy podobny jęk czy trzask — muzyka wątpię, żeby posiadała klucz do podobnego głosu — uczułem jak mróz chodzi mi po kościach. Otóż — pomyślałem chyba baśń ludowa prawdę mówi, że szatan „chichocze“ częstokroć śród jarów górskich, w chęci straszenia ludzi.

— Może to puhacz wrzeszczy? — mówi mój towarzysz.

— Może ryś, w walce z drugim rysiem?

Uwagi te czyniliśmy, w miejscu przystanąwszy. Jeszcze nie przebrzmiał dziwny głos echem po borze i załomach skalnych rozniesiony, gdy gdzieś na drożynie straszny powstał łoskot, a w końcu huk straszliwy, od którego ziemia zadrżała. I ja zadrżałem, znagła na ziemię padając. Upadnięcie moje spowodowało gwałtowne targnięcie się mojego wierzchowca. Koń, rączy z natury i płochliwy, pozostawiwszy w rękach moich trenzlę, pomknął z najeżoną grzywą z powrotem ku Jasionce.

I O. niemało miał kłopotu ze swym koniem, który, jakkolwiek spokojniejszej natury, rwał się do ucieczki.

Obracamy się w stronę drożyny, pragnąc zbadać przyczynę tego gromkiego łoskotu.

— A to co? — wołam zdziwiony, zdejmując dubeltówkę, przez plecy przewieszoną.

Jakże nie było porwać się do strzelby na widok potworu, który spostrzegliśmy. Do miejsca, w którem na wystającym głazie stało owo niespodziewane zjawisko, było około stu kroków. Najwyraźniej niedźwiedź, bo kosmaty, o rudej barwie sierci, a sporych rozmiarów.

Dodam, że jednę lufkę miałem nabitą kulą.

— Szaleńcze — woła do mnie O. — nie strzelaj! To człowiek „Bezjazyki“, jak go tu nazywają.

Zbliżamy się do mniemanego niedźwiedzia. W istocie... człowiek, lecz jakże dziwnie wyglądał!

Średniego wzrostu, ubrany był w kożuch, wełną do góry obrócony. Wełna była snać od starości odzienia i od słońca mocno zrudziała. Głowę, jak się później przekonałem, o szpakowatym włosie, ani kapelusz ani czapka nie pokrywała, toż kudły mocno z sobą splątane, stanowiły rodzaj grubego czepca. Resztę ubrania stanowiły podarte „chołosznie“, nogi miał bose, twarz całą i ręce gliną umazane. Jak tu nie pomylić się na widok takiej maszkary?

Zdziczały ten człowiek począł nam na migi dawać do do poznania, żebyśmy kroczyli za nim drożyną.

Wnet przekonaliśmy się, co spowodowało ten straszliwy łoskot. Oto jeden ze zwisających się głazów, skutkiem rozmoknięcia ziemi i podmulenia, urwawszy się z swej posady, runął w łożysko potoka. Głaz ten był olbrzymi; kilka mniejszych, lecz zawsze dużych rozmiarów, zatarasowało drożynę, tak, że nie sposób było dalej kroczyć.

Dziwaczny nasz pół-człowiek nie namyślając się, począł pracę Syzyfa; postrącał wnet zalegające drogę duże kamienie w potok. Niezwykłą to zdradzało u niego siłę. Do poruszenia z miejsca takiego odłamka głazu, co najmniej trzech ludzi byłoby potrzeba. On je z niewielkim nawet ze swej strony wysiłkiem toczył aż ku przepaści.

— Czy to ty krzyczałeś? — pytał O. po rusku.

Niemowa potwierdził kiwnięciem głowy.

— Niemy, a słyszy? — dodałem zdziwiony.

— A tak — odpowie O.

— Najgorsze — mówię — żem teraz spieszony kawalerzysta, a najbardziej siodła nowego mi szkoda, i koń wylękły gotów się pokaleczyć.

— Czy wiedziałeś, że kamień się urwie? — pytał O.

Niemy znowu dał znak potwierdzający.

Zaciekawił mnie ten nasz wybawca, prawdziwy przyjaciel ludzkości. Spojrzałem mu badawczo w oczy, a wyznam sumiennie, że wyraz oczu ludzkich nigdy w życiu mnie nie pomylił. Wyrazu dużych, błękitnych oczu tego półczłowieka, o melancholijnym wyrazie, nigdy nie zapomnę, albowiem wyczytałem w nich boleść, bez skargi...

— Dawszy mu jałmużnę, ruszyliśmy ku Rybnikowi.

Rozstrojeni zdarzeniem, a co więcej, tak niezwykłym widokiem owego człowieka, kroczyliśmy w milczeniu.

Do tartaku nie było zbyt daleko. Tam przybywszy, zastaliśmy dość liczne grono myśliwych na wychodnem na polowanie.

— Cóż to widzę? — przemówił wesoły i dowcipny dyrektor tartaku — *antiquo modo* dwóch szlachty na jednym podróżuje stępaku?

— Ja szedłem pieszo — odciąłem — bo „komu szkapka deest, piechotare debet“.

O. w krótkości opowiedział zdarzenie nasze na drodze, i kto nam uratował życie.

— Teraz jestem w domu — rzekł dyrektor. — Od dłuższego już czasu widywałem tam „bezjazykiego“. Dziwny to człowiek.

Psy gończe, które przodem wyprawiono, musiały prawdopodobnie stanąć już w miejscu, skąd je podłożyć miano, toż i my całem gronem myśliwych poszliśmy i zajęli stanowiska.

Zajęcie stanowisk w przepaścistej, jak górska, kniei nie odbywa się tak prędko. Nareszcie zatrąbił leśniczy, żeby psy puszczono. Czekamy. Naraz usłyszałem za sobą szmer. Uczynił go „bezjazyki“. Dawał mi znaki jakieś, których zrozumieć nie mogłem.

Począł się gon. Psy grają aż miło. Na mnie wyszedł kozioł, palnąłem i ubiłem. Tu przypada do mnie niemowa i dobywszy „kozik“, poczyna pokazywać, że radby zwierzynę patroszył.

— Dobrze — dałem na to znak głową.

Wykonał „patroszenie“ z podziwienia godną wprawą i szybkością. Zabrał „patrochy“ i pokłoniwszy się, zniknął w gąszczy.

Inny miot zajmując, natrafiliśmy znowu na niemowę. Rozłożywszy sute ognisko, piekł on na długim kiju omotane sarnie patrochy.

* * *

Wieczorem tego dnia, przy pogadance, opowiedział nam dyrektor tartaku niektóre o niemowie szczegóły.

Przed laty około piętnastu, wczesną wiosną, widywali ludzie wsi okolicznych w lasach tamtejszych błąkającego się człowieka. Odarto i dziko wyglądał i unikał ludzi. To rzuciło nań „posądzenie“ — jak się wyraził przemądry wójt wsi Łastiwek — że jest „jakijś nesamowytyj, łeboj rozbijnyk, szczoby ino koły seło ne pidpaływ“. Na pół pijana „hromada“ uchwaliła zrobić na niego obławę. Toż pewnego poranku, w kilkudziesięciu ludzi poszli buszować po lesie. I udało im się w debrze napotkać owego człowieka. Zdrzemnął się był przy ognisku. Czterech najsilniejszych i

najodważniejszych we wsi urlopników, prawdziwie chłopskim manewrem „łyszkom a nizom“, podsunąwszy się pod śpiącego, naraz rzucili się na niego. Poczęła się walka. Człowiek ów, porwawszy się na nogi, jednem targnięciem powalił na ziemię napastników, i uciekł w las.

Na ognisku piekły się dwie wiewiórki i — wąż.

Niemowa, jak się później okazało, obrał na swoją siedzibę wyżyny i skały rybnickiego rewiru. Od ludzi stronił, w ogóle całkowicie nie zbliżając się ku osadom. Jedynymi ludźmi, z którymi niemowa nawiązał niejakie stosunki, byli juhasy. Od nich też zasięgnąłem wiadomości o zjawieniu się tego człowieka.

Zkąd pochodził, nawet juhasi dowiedzieć się nie mogli, bo był niemową. Gdy go wypytywać poczęli o przyczyny niemoty, miał się rozpłakać. I wtedy to pokazało się, że ma język ucięty. Od tej przyczyny nadano mu też przezwisko „bezjazyki.

Gdy go przypierano, żeby bodaj na migi wyraził, kto go tak srodze okaleczył, począł krzyczeć, uciekł i kilka tygodni juhasów unikał.

Nadeszła jesień, św. Pokrowy (13. października). W dniu tym kończy się sezon koszarowy. Juhasi wraz z watahą, oddawszy kmieciom ich owce i ser, czyli bryndzę, wracają do swych siół rodzinnych.

Biedny niemowa, mimo zaprosin watahy, ażeby w jego chacie przezimował, nie chciał tego uczynić. Pasterze obdarzyli go, czem który mógł. Jeden dał mu stary kożuch, drugi chołosznie, trzeci chodaki (pozłoty). Obdarzyli go przytem kilkoma topkami soli — i pożegnali biednego niemowę.

Gdzie przebywał mroźną i śnieżną zimę? Prawdopodobnie w rozpadlinie skalnej, których tam niemało.

W głębokie góry, gdy śniegi spadną, żaden wieśniak nie zagląda — nie ma nawet potrzeby.

Niemowa nie dawał o sobie znaku życia, toż kto go znał, był pewnym, że albo porzuciwszy swój wstręt do ludzi, wprosił się do jakiej chaty na zimowlę, lub umarł z głodu i mrozu.

Pewnego dnia w miesiącu lutym, w towarzystwie jednego pobereźnika, wybrałem się w las celem wyszukania dobrego gatunku kamienia na fundamenta do zabudowań gospodarskich. Do miejsca, gdzie skały się znachodziły, szliśmy korytem potoka, któreto to koryto jedynie umożliwiało wywóz kamienia.

- A to co za trop? — mówię, spostrzegłszy na śniegu najwyraźniejsze odbicie niezgrabnych stóp. Wiedząc z doświadczenia, że tylne stopy niedźwiedzia łudząco do ludzkich podobne, rzekę do pobereźnika:

— Z widki tut medwid’ wziaw sia?

— To ne medwediczy ślid — odpowiedział pobereźnik.

Najmocniej mnie zdziwiło, że gończak, który za mną był poszedł, najeżywszy sierć, skomląc, skrył się pod memi nogami.

Trop wiódł od potoka prosto ku skałom.

Podchodzimy bliżej sterczących głazów, kierując się za tropem i naraz, postrzegamy w oddali dym ogniska, z rozpadliny skalnej cienkim słupem wychodzący.

— Może tam rozbijnyki? — mówi struchlały pobereźnik.

— Głupiś! — odpowiedziałem — to snih sia zahriw taj paruje.

Domyślałem się właściwej przyczyny; tam musi niemowa gospodarować.

Znając ciekawość chłopską, z umysłu powiedziałem taki bezsens; mógłby śledzić za przyczyną zjawiska, a tego znowu niechciałem. Ruszyliśmy z powrotem do leśniczówki, gdzie na razie mieszkałem.

Nie posiadam zbyt drażliwych nerwów, ani też byle czem się nie rozczulam, lecz wyznam otwarcie, że podobne odkrycie dziwnie smutno mnie nastroiło. W pamięci mojej odżyły przygody Robinsona Crusoe, które w dzieciństwie czytałem, lub losy rozbitków okrętowych, których fale na bezludne wyspy wyrzuciły.

Czem ten biedak się żywi? — pomyślałem. — A już chyba zwierzyną, którą ułowi. Lecz czem ją ułowi, skoro, czego byłem pewny, żadnej palnej ani siecznej broni nie posiada?

Od owej pory, ile razy szedłem w tę stronę boru, nigdy nie brałem towarzysza.

Strzelam dobrze, toż co tylko mi się ubić zdarzyło, kładłem z umysłu w niewielkiem od skał oddaleniu. Często z umysłu gubiłem przeróżną żywność, której spory zapas na polowanie w torbę zabierałem.

Pragnąc ochronić niemowę od wykrycia, począłem innego szukać kamieniołomu. Skał było dużo, lecz w tak niedostępnem leżały miejscu, że wywóz materyału był niemożliwy.

Minęła, jak na szczęście, niezbyt ostra i długa zima. W miesiącu kwietniu kilkudziesięciu ludzi poczęło łamać kamień. Przynajmniej — pocieszałem się w myśli — już się ociepliło, więc niemowa, jeśli mu na ukryciu przed ludźmi tak wiele zależy, bedzie na tyle ostrożny, iż wyniesie się w inną część lasów.

W samej istocie, żaden z kamieniarzy go nie widział.

Nadszedł maj, chłopi okoliczni poczęli wypędzać trzody, aż na dalsze „działy“, które były ich gminnemi pastwiskami.

Pastwiska te stanowiły znaczny kompleks, miejscami porośnięte lasem świerkowym, miejscami rosły jałowce, stanowiąc mocno zwartą gąszcz. Juhasi, zazwyczaj tęgie chłopy, gdy pasą owce, częstokroć w stadzie o trzystu sztukach, pilnują takowe, iż rzadko się wydarzy zgubić jaką sztukę. Naraz, systematycznie co parę dni, poczęły ginąć pojedynczo owce, a nawet jałówki. Wilki to robią, sądzono, lub może „bezjazyki“ robi to z głodu.

Vox populi, *vox dei*, mówi przypowieść.

Pewnego wieczora, byłem już w domu, naraz słyszę gwary jakieś na podwórzu. Wychodzę, a tu tłum chłopów wali się przed ganek. Jeden z nich woła:

— Mamy już tego, co nam tyle szkody wyrządził!

W te tropy nadeszło dwu żandarmów, prowadząc okutego niemowę.

Biedak ten, skoro mnie ujrzał, rzucił się na kolana i złożywszy palce na krzyż, począł gestami zaklinać się, iż jest niewinny.

Pytam chłopów i żandarmów, czy złapali niemowę na gorącym uczynku, lub znaleźli najmniejszy jaki ślad, dowodzący jego winy?

— A nie! Złapaliśmy go siedzącego na starym świerku, gdzie sobie urządził legowisko. Pod świerkiem znaleźliśmy kupę kości z jakiejś drobnej zwierzyny i ości z ryb.

— Brak dowodu — mówię do żandarmów — wreszcie ja ręczę za tego, jakkolwiek na pół dzikiego człowieka. Że jest spokojnym, miałem sposobność niejednokrotnie się przekonać. W zimie albowiem pod jego nieobecność, zwiedziłem jego kryjówkę w skałach i nic tam podejrzanego nie znalazłem. Wreszcie wyznam panom, że człowieka tego od roku przyjąłem na pobereźnika. Nie uczyniłem tego jawnie, pra-

gnąc tem lepszą nad niższymi organami leśnymi mieć kontrolę.

Żandarmi na takie *dictum* natychmiast uwolnili niemowę. Chłopi poczęli mruczeć niezadowoleni:

— A hde moja wiwcia, moja jałyczka?... i t. p. Któż je pobrał?

— Kto? — mówię — a czemużby nie wilki, które zawsze o tej porze krążą około szałasów?

Niemowa swoją drogą zdziwionem okiem na mnie spoglądał. Najbardziej się zdumiał, skorom, udając zagniewanego, krzyknął:

— A teraz na swoje stanowisko, za każdą szkodę mi odpowiesz.

Łatwe do zrozumienia, że wszystko, co powiedziałem, było dobrze improwizowaną przezemnie komedyą.

Co się zaś tyczy odwidzin gawry niemowy, rzecz się tak miała:

Oprócz współczucia, jakie miałem dla biednego niemowy, paliła mnie ciekawość zwiedzić wnętrze jego pieczary. Toż pewnego dnia, wziąwszy ze sobą dwa duże, tak zwane „drążkowe" kundysy, które z łatwością osadzały w miejscu odyńca, a nawet nie ustąpiły niedźwiedziowi, wybrałem się w stronę przyszłego kamieniołomu. Było już około południa, więc niemowa prawdopodobnie na wyszukanie jakiej żywności w bór wyruszył. Łatwo odnalazłem miejsce jaskini, albowiem jak ongi, z wnętrza jej wychodził dym. Obu psom kazawszy pozostać przy wejściu do pieczary — a uczyniłem to z ostrożności, ażeby mnie ten pół-dziki człowiek nie naszedł w swej siedzibie niespodziewanie — zostawiłem dubeltówkę i sam z dobytym kordelasem, na czworakach wsunąłem się do pieczary. Ciemno było, jakkolwiek kurzyło się ognisko w kącie rozniecone. Przewidując ten wypadek, miałem z sobą kawałek pochodni, używanej w czasie robót nocnych. Dość duży płomień pochodni dobrze wnętrze niedużej piecyary. Łoże stanowiła spora kupa mchu. Niemniej u wchodu do pieczary było go sporo — prawdopodobnie w celu ochrony od zimna. Na rodzaju półki stał spory garnek i saganik drewniany, dary juhasów. Dalej kilka drągów i kijów, służących może za rożny. Na kołku w szparę wetkniętym wisiało pół sarny.

Więc tem — pomyślałem — żywi się ten biedak!

Najbardziej zdziwiły mnie resztki skóry wilczej. Teraz dopiero zrozumiałem przyczynę, dla czego gończak mój wonczas po napotkaniu zagadkowego tropu, taką okazał trwogę. Był to ogar w pierwszem polu, więc jeszcze trwożliwy. Skórą tą wilczą, do której niewiadomo jakim sposobem przyszedł, owijał sobie niemowa nogi, chroniąc je od mrozu.

Dodam, że zewnątrz pieczary, mimo dokuczliwego mrozu na dworze, duszna panowała atmosfera Kupa kości, w jednym kącie się znajdująca, resztki sarny, będące na pół w rozkładzie, wreszcie kawały, samo przez się niewonnej wilczej skóry, w stosunkowo małej pieczarze, uniemożliwiały mi dłuższy tam pobyt. Wszystkiego, com tam znalazł, z umysłu nie dotykałem — jak to się czynić zwykło z gniazdami ptaków lub dzikich zwierząt, których niszczyć nie ma się zamiaru. Za najbliższem dotknięciem piskląt ptasich, lub płodu zwierzęcia dzikiego, rodzice wnet poznają, że był tu ktoś niepowołany i najczęściej, mimo przywiązania do swego płodu, takowe na zawsze porzucają. Dzicy, lub na pół zdziczali ludzie, posiadają równą wrażliwość. Przedmioty w ich kryjówkach poruszone, przy najmniejszej odmianie w szyku, w jakim je właściciel pozostawił, daje mu poznać, że był tam człowiek obcy, więc w obawie odkrycia porzuca dawną swą kryjówkę.

Wróciłem do domu.

Później, o czem już powyżej nadmieniłem, w miesiącu kwietniu, nastąpiło ujęcie niemowy przez chłopów i żandarmów, i sztuczne jego uwolnienie.

Ktoś zawsze porywał na pastwisku owce wieśniaków. Chłopi zawsze mieli w podejrzeniu niemowę, nieniąc go „charakternikiem", czarownikiem i t. p.

Pewnego dnia w maju, wielka w gminie zapanowała wrzawa. Znowu „coś" porwało najlepszą owcę „dojkę" i to własność samego wójta. Wyznam otwarcie, że zwątpiłem w cnotę niemowy, nawodząc w pamięci ruską przypowieść: „Dowh krutył, hołod krade". Głód, smutna to konieczność, może naprawdę niemowa porywa owce i zjada.

Aż pewnego poranku dają mi znać ludzie moi, że zjawił się na leśniczówce niemowa, dając znać, że ze mną widzieć się pragnie. Wychodzę, a niemowa gestami mi pokazuje, żebym za nim w las poszedł. Dobrawszy sobie dwu pobereźników idziemy.

Przodem kroczył niemowa — jak to miał w zwyczaju ze schyloną w dół głową, mimo dość młodego wieku zgarbiony, ale kroczył szparko, tak, iż zaledwie za nim zdążyć mogliśmy. Gdzie on nas wiedzie i w jakim celu? — pomyślałem. Szliśmy co najmniej dwie godziny, przez debry i góry, a on naprzód idzie. Jakkolwiek przyzwyczajony byłem do chodzenia po górach, a dwaj pobereźnicy, jako rodowici górale, mistrzami byli w tej mierze, poczęliśmy prawie ustawać ze zmęczenia. Toż wołam do niemowy:

— Spocznijmy trochę! — a on znakami odpowiada, że już niedaleko.

Nareszcie spuszczamy się w rodzaj ciemnej, małej, moczarnej dolinki, gęsto wioliną i krzakami olszowemi porośniętej. Do środka tej gąszczy wiodła ledwie wydeptana ścieżynka. Wstępujemy w środek gąszczy, aż tu leży ogromna wilczyca, z roztrzaskaną głową. Tuż przy niej leżała nieżywa owca wójtowa.

Niemowa dawał nam znaki, pragnąc powiedzieć: „Nie to jeszcze, pójdźcie dalej". Jeszcze parę kroków, aż tu gniazdo wilcze z czworgiem młodych wilcząt. Żeby się nie rozlazły, powiązał im niemowa prętami łozowemi nogi.

Gniazdo całe wysłane było runami owczej wełny. Po bokach mnóstwo walało się kości z ofiar pożartych.

Jakim sposobem zdołał niemowa uspić czujność wilczycy i ubić ją ciężkim kołem, który zakrwawiony, leżał na pobojowisku, nie mógł nam niestety opowiedzieć.

— Dzielnieś się sprawił — mówię do niemowy. — Potrzeba jednakowoż, żeby i chłopi to widzieli. Przyprowadź tu wójta i kilku z gromady.

Poszedł z jednym z pobereźników. Ja z drugim leśnym w pobliżu owej młaki, dobrawszy sobie suchego miejsca, pokładliśmy się w celu wypoczynku. A byliśmy obaj w strzelby uzbrojeni.

Po takiem zmęczeniu pobereźnik, obyczajem chłopskim, zaraz zasnął, ja później.

Nie wiem, jak długo spaliśmy, gdy pobereźnik budzi mnie, trącając w nogę, z palcem przy ustach — co oznaczało: milczeć: Cisza panowała dokoła, więc słyszymy wyraźnie gdzieś z oddali wycie przeciągłe.

— Baczu, staryj wowk wertaje sia do ditej — mówi pobereźnik po cichu.

Po niedługiej chwili, już znacznie bliżej ozwało się owo „trąbienie". Na to, jakkolwiek były powiązane wilczęta, któreś, może bejnaminek w rodzinie, pierwsze odezwało się

cienkim głosem. Z zapartym tchem w piersiach czekamy, prosząc bogini Diany, żeby nawiodła kroki wilka w miejsce, gdzieśmy czekali z odwiedzionemi kurkami od strzelb, nabitych lotkami. Naraz w pobliżu nas zlekka zaszeleściły zarośla i wynurza się wilczysko. Podtrzymywał na grzbiecie pochwyconą białą owieczkę — tož zajęty tą pracą, nie spostrzegł na kogo idzie, aż, dostał naraz dwa celno strzały, bo wystrzeliliśmy razem jakby na komendę. Skoziołkował, strzepnął łapami, machnął „polanem“ (ogonem) i już był nasz.

— A to fajnyj! — wykrzyknął pobereżnik z tryumfem.

Rozpaliliśmy ognisko, ja zapaliłem cygaro, a pobereżnik „spohriwszy“ swoją glinianą, na króciutkim cybuszku osadzoną fajeczkę, pykał sobie mocny „bakuń“, t. j. tytoń z Węgier przemycany.

— Po jakiej godzinie zjawił się pan wójt — o dziwo! trzeźwy! — oraz trzech z gromady, pobereżnik i niemowa.

— Ktoś strzelał — mówi przybyły pobereżnik.

— A my — odpowiadam, wskazując na rozciągniętego wilka.

Chłopi na widok takich dowodów. uwierzyli w końcu, że owym szkodnikiem nie był niemowa, tylko wilki.

Zanim się do powrotu zabraliśmy, niemowa „obielił“ oba wilki i skóry mnie oddał, a ścierwo, dawał znaki, że dla siebie zatrzymuje.

— A po co? — pytam.

Poruszeniem szczęk wytłumaczył, że do zjedzenia.

Obie skóry kupiłem, a kwotę złożyłem na ręce wójta, żeby bodaj w części właścicielom porwanych owiec szkodę wynagrodzić. Z wilcząt dwoje najsilniejszych dla chowu wybrałem, drugich dwoje kazałem ubić.

Niemowę, który mnie jedynie nie unikał, udało mi się w końcu namówić do przyjęcia służby na prawdę, a to jako stróża kloców, na tartak przeznaczonych, które w głębokim lesie leżały. Przystał na warunki pensyi i ordynaryi z jednym tylko warunkiem, że i nadal w lesie lub gdzie chce zamieszka.

Całych lat dwanaście jak najwierniej pełnił służbę stróża lasowego. Co soboty przychodzi z raportem. Z karbów dowiaduje się, ile kloców w lesie pozostało, a ile do tartaku odstawiono.

Dziwny ten człowiek, pomimo, że ma dobrą pensyę, zawsze po cudacku i brudno się ubiera. Co roku z pensyi jego kupuje mu się kożuch, chołosznie i dwie lub trzy pary chodaków. Koszuli nie nosi. Latem wdziewa kożuch wełną do góry, a zimą runami do ciała. Kapelusz, czapkę uważa za niepotrzebne. Chłopi utrzymują, że grosz oszczędzony gdzieś chować musi, bo na cóż go wyje? Nie ubiera się, wódki nie pije...

Jeżeli kiedy raport do późnej nocy się przeciągnie, niedba o to, tylko rusza do swojej gdzieś nory. Chyba gwałtowna zerwie się burza lub zawierucha, natenczas nocuje — a wiecie gdzie? Oto w tej olbrzymiej kupie trocin, co sporym pagórkiem sterczy w pobliżu tartaku. Śród najcięższych mrozów, w środek trocin z głową się zagrzebawszy, przesypia długą noc zimową.

Zkąd pochodził, jaka jest przyczyna jego kalectwa, niesposób od niego sią dowiedzieć, bo nie ma języka.

* * *

Takiem było opowiadanie dyrektora tartaku.

Mnie, pomimo, że lat kilka mieszkałem w górach samborskich, nie zdarzyła mi się więcej sposobność widzieć niemowę. W końcu na zawsze, jak się zdaje, wyjechałem z owych stron. O, już nie żyje, dyrektor tartaku także podobno poszedł w lepsze światy — więc nie mam od kogo się dowiedzieć, co się stało z niemową.

Z obcych światów.

Niedźwiedź szary w Ameryce.

Jak człowiek tak i niedźwiedź, zamieszkuje każdy prawie kątek ziemi, każdą przestrzeń i wszystkie kraje, a znany jest nawet na niebios firmamencie, gdzie sobie fantazja ludzka wielką i małą niedźwiedzicę wyszukała.

Właściwą krainą niedźwiedzi jest Ameryka północna, która też najokazalsze odmiany niedźwiedzi posiada, mianowicie: niedźwiedzia szarego *(Ursus horribilis)*, zwanego „Grisly“, niedźwiedzia czarnego *(Ursus americanus)*, znanego pod nazwą „Baribal“, wreszcie polarnego czyli białego *(Ursus maritimus)*. Na te to trzy niedźwiedzie najchętniej myśliwi polują. Między wszystkimi znanymi odmianami, jest niedźwiedź szary, czyli jak go amerykańscy myśliwi nazywają „Efraim“, najdzikszym i najstraszniejszym, i tylko niedźwiedź polarny przewyższa go pod względem ogromu, ale nie co do siły. Niektóre okazy tego zwierza dochodzą długości 2·3 do 2·5 metra, mierząc od nosa do końca ogona, a ważą przeciętnie 8 cetnarów. Ten gatunek niedźwiedzi znamionują głównie ogrom ciała, krótki ogon, szerokie, płaskie łapy z podeszwą, która niekiedy bywa 22 ctm. długa, a 15 szeroka; następnie w porównaniu z przedniemi, długie tylne nogi, przez co chód jego staje się niezgrabnym, ociężałym; u przednich łap pazury, które czasami 20 ctm. są długie i ostro zakrzywione, podczas gdy u nóg tylnych zaledwie 10—12 ctm. długości dochodzą; wreszcie szczeciasta, najeżona grzywa, o twardym, często i 16 ctm. długim włosie. W końcu na całym tułowiu gęsta, 8—9 ctm. długa sierć, na dolnej części ciemna, na wierzchu jaśniejsza. Niedźwiedź szary posiada ciemne pasy na grzbiecie i po obu bokach; włos na tułowiu ciemno-żółty, około ucha czarniawy, nogi prawie zupełnie czarne, nos białawy, włos na głowie krótki, spadający. Barwa jednak sierci nie stanowi wybitnej cechy, gdyż nieraz już ubijano samice niedźwiedzia szarego z młodymi, z których jedno było brunatne, drugie siwe, lub jedno ciemne, drugie jasne, a mniemany niedźwiedź brunatny był niedźwiedziem szarym, tylko o odmiennej barwie sierci.

Niedźwiedź ten przebywa prawie we wszystkich okolicach Ameryki północnej.

Spotykano go nad brzegami Missuri, na północ od Fort-Pierce i stąd na wschód w jego ulubionem miejsu pobytu, w górach. Niektóre okazy ubijano nad brzegami oceanu Spokojnego; spotkać go także można w Meksyku i ku północy aż do jeziora niewolników w Ameryce brytyjskiej. Nietylko wszędzie się on znajduje, lecz także je wszystko i w ogóle prowadzi życie wygodne. Nie jest to właściwie zwierzę drapieżne, gdyż nie celuje ani chytrością, ani zwinnością i zręcznością, jak np. wilk, jakkolwiek jest dość zwinnym w niedługim biegu, o czem się już niejeden myśliwy, niestety ze swą szkodą, przekonał. Czasami ugania się on za stadami bawołów, widocznie, aby jakie zranione lub zmęczone zwierzę móc pochwycić; wpada też nieraz do zabudowań i wynosi ztamtąd owce, świnie lub cielęta. Przysmakiem jego jest mięso jelenia kanadyjskiego *(Cervus canadensis)* tak zwanego „Wapiti“, a każdy doświadczony myśliwiec, który miał szczęście kiedyś ubić tego jelenia wie, że jego zdobycz może być przynętą dla niedźwiedzia szarego, choćby ten na przestrzeni 5 mil angielskich od tego miejsca się znajdował. Spożywa on nietylko mięso, ryby i ptactwo, lecz także korzonki roślin, owoce, jarzyny, miód, a nawet i owady. Śliwki, rozmaite jagody, czereśnie itp. stanowią w czasie dojrzewania znaczną część jego pożywienia.

Efraim posiada większą siłę żywotną i wytrzymałość, niż inne zwierzęta północnej Ameryki, a myśliwy, który zamierza na niego polować, musi mieć dobrą broń i silne nerwy. Każdy strzał musi być z zimną krwią tam wymierzony, gdzie może być zabójczym, a często potrzeba i więcej strzałów, by takiego zwierza powalić. Jeden strzał w mózg jest śmiertelnym; w serce trafiony może niedźwiedź szary jeszcze pięćset kroków szybko biec, a nawet człowieka rozedrzeć, nim sam padnie. Pierwej, gdy używano kapslówek, było to istnem narażaniem się zaczepiać takiego niedźwiedzia i niejeden już myśliwy życiem przypłacił to nierozsądne zuchwalstwo; teraz jednak przy ulepszonych strzelbach i karabinach repetierowych, mniejszem jest to niebezpieczeństwo.

Jak mówią, ma niedźwiedź szary większe swoje łupy zagrzebywać w ziemi, by się nimi w przyszłości delektować; jest to jednak jeszcze wątpliwem. Zapada on w sen zimowy, nie prędzej jednak, aż się już zima w pełni rozgości i gdy już gruby śnieg leży. Można go czasem, kierując się tropem, w głębokim śniegu znaleść, gdzie szuka za pożywieniem. Przed snem zimowym jest on zwykle bardzo tłustym i to daje mu sił i ciepła tyle, iż może się w kryjówce swej bez pożywienia przy życiu utrzymać.

Czasopisma podają nieraz wiadomości o ubiciu niedźwiedzi szarych, które 15, 18, a nawet 20 cetnarów ważyły. Słyszeć też można nieraz, iż ten lub ów chwali się, że gdzieś ubił lub tylko przyczynił się do ubicia takiego niedźwiedzia, który najmniej ważył 18 cetnarów. Ale na pytanie, czy w istocie tyle ważył, na pewne można otrzymać odpowiedź: „Nie ważyliśmy go, lecz wszyscy co go widzieli, mówili, iż tyle z pewnością waży, a przecież ci, co to mówili, to doświadczeni znawcy.“ I w ten zwykle sposób kończą się najczęściej historye o wadze ogromnych niedźwiedzi, jeleni itp.

Największy taki niedźwiedź, którego widziałem, ważył napewno nie więcej jak 7 do 8 cetnarów, a nie mogę temu uwierzyć, iż istniał taki, który nad 1000 funtów ważył.

Mięso dorosłego niedźwiedzia szarego jest łykowate, włókniste, niesmaczne i niezdrowe; jednak tłuste mięso z młodego jest delikatne, soczyste i stanowi pyszną pieczeń na stole myśliwskim.

Samica rodzi zwykle dwoje, rzadziej troje młodych na raz, które po urodzeniu $1^1/_4$ do $1^1/_2$ funta ważą. Niedźwiedź szary wywodzi się też i w niewoli. W zoologicznym ogrodzie w Cincinati miano już kilka razy młode, urodzone w klatce.

Samica jest zwykle bardzo zła, jak długo ma młode a ostrożność musi być podwojoną, jeżeli złapaną zostanie w tym stanie.

Indyanin zazwyczaj nie odważa się sam na niedźwiedzia polować i tylko, gdy więcej myśliwych jest razem, składają się oni na ubicie jednej sztuki.

Wielką wartość przywiązują także do pazurów niedźwiedzich i chełpią się bardzo naszyjnikami z nich, które noszą.

Niedźwiedź szary odwiedza często lesiste lub krzakami zarosłe górskie okolice, albo lesiste doliny rzek, które z tych gór wypływają. Wędruje on często wzdłuż rzek od jednego pasma gór do drugiego. Napotkałem go raz na otwartem miejscu w górach Bighorn, gdzie właśnie przewracał kamienie, szukając za robakami. Po strzale zaczął uciekać do najbliższego wąwozu, nie dotarł jednak do niego, gdyż eksplodująca kula mego sztućca, która przeszyła płuca, powaliła go na ziemię.

Mało zaledwie osób wierzy temu, iż niedźwiedź ten napada człowieka nie zaczepiony, lub nim podrażnionym zostanie. Ja byłem także takim niewiernym Tomaszem, dopóki naocznie się nie przekonałem, iż napada on często człowieka, zanim mu ten jakąś krzywdę wyrządzi.

Polowaliśmy w górach, w północnej okolicy Wyoming. Rano zastrzeliłem wielkiego „Wapiti“ i gdy około południa wracaliśmy na stanowisko, aby zwierzę wypatroszyć i rozćwiertować, ujrzeliśmy nagle, iż wyszedł na nas ogromny niedźwiedź, za zbliżeniem się jednak naszem umknął. Bez najmniejszej obawy przed jego możliwym powrotem, zawiesiliśmy strzelby spokojnie na drzewie i rozpoczęliśmy naszą robotę. Było nas trzech, dwóch jednak tylko miało strzelby; niejaki bowiem p. H., fotograf, swoją zostawił w namiocie.

Właśnie byliśmy patroszeniem zajęci, gdyśmy w krzakach przeciągłe mruczenie usłyszeli i nagle ujrzeliśmy zsuwające się z pagórka trzy niedźwiedzie, mianowicie samicę z dwojgiem młodych, dosyć już podrośniętych. Przeraziliśmy się tembardziej, gdyśmy ujrzeli, że na nas nacierają z niemniejszą zajadłością, jak stado wilków na gromadę owiec.

Niedźwiedzie, gdyśmy je spostrzegli, znajdowały się właśnie między nami a naszą bronią, która wisiała na drzewach, rzuciliśmy się tedy co rychlej do koni, które kilka kroków za nami były uwiązane, sądząc, że niedźwiedzie zabawią się dłużej przy naszej ubitej zwierzynie. Nadspodziewanie jednak zdawały się nawet nie widzieć ubitego jelenia, lecz prosto na nas sadziły; nie było już tedy czasu do ucieczki. Zaledwie zdołaliśmy strwożone konie odwiązać i wsiąść na nie. Jedynym celem naszym było obecnie bronić życia; chwyciliśmy więc noże myśliwskie i natarliśmy z dzikim okrzykiem na niedźwiedzie. Bestye, widząc przeciwników w równej liczbie, przystanęły na chwilę, pomruczały, jakgdyby zapowiadając nam zemstę, lecz w końcu zwróciły się do odwrotu, drapiąc się do góry wśród krzaków. Wówczas pochwyciliśmy strzelby. By nie przeciągać opowiadania, dodam tylko, że ubiliśmy niedźwiedzicę i jedno młode, drugie zaś uszło w gąszcz, nim zdołaliśmy strzelić. Stanowczy tylko opór, któryśmy stawili dzikim bestyom, uratował nam tym razem życie.

Niedźwiedź szary tylko w części prowadzi życie nocne; jest on niespokojnem, ruchliwem stworzeniem. Połowę swego czasu przepędza na żerowaniu, drugą zaś połowę obraca na

wałęsanie się tak w dzień, jak i w nocy. Jak długo żyje na wolności, nie jest jeszcze dokładnie skonstatowane; mniej więcej 25 do 30 lat. Mimo swej wielkiej odwagi, siły i całej swej dzikości, nie jest on jeszcze tak strasznym, wyrafinowanym drapieżcą, za jakiego go uważają. Zwykle, gdy ciężko jest zraniony, ucieka, co także i u czarnych niedźwiedzi widywałem.

Podaję tu inny przykład, z ust wiarogodnych, o niedźwiedziu szarym, który niezaczepiony napadł człowieka.

Dwóch braci szukało złota w górach nad górnym biegiem rzeki Stinking. Młodszy z nich, który łopatą ciężko pracował, jakkolwiek rosły i silny, był trochę wrażliwy i nerwowy, starszy zaś nigdy nie chciał, by ten sam pracował, lub by się za daleko od namiotu oddalał. Jednego przecież dnia wysłał go z kociołkiem po wodę do źródła, zaledwie 50 kroków oddalonego. Źródło wytryskało w głębokiej rozpadlinie, zejście zaś do niego prowadziło po wystających kamieniach. Właśnie gdy chłopak ów przechodził po pod wystającą skałę, niedźwiedzica, która tam obrała sobie legowisko, sięgnęła łapą ku jego głowie. Na szczęście jednak nie zdołała dosięgnąć tak głęboko, aby mu jakąś większą szkodę wyrządzić. Draśnięciem tem zdarła mu tylko kapelusz, a pazury pozostawiły kilka głębszych śladów na głowie. Ponieważ poszukiwacz złota w pierwszej chwili nie zastanowił się nad swem niebezpieczeństwem, natarł więc na niedźwiedzicę gwałtownie jedyną bronią, jaką miał w ręku, t. j. żelaznym kociołkiem. Starszy brat tymczasem, usłyszawszy ryk, przybiegł ze strzelbą w ręku właśnie w chwili, gdy chłopak kociołkiem żelaznym okładał niedźwiedzicę po łbie; ta zaś wymierzała na niego łapą straszne razy, z których każdy, gdyby był dosięgnął, byłby go niezawodnie na miejscu zabił. Starszy wystrzelił więc szybko trzy razy do bestyi i powalił ją na ziemię. Biedny chłopak jeszcze teraz nie mógł pojąć swego niebezpieczeństwa, a gdy powstał, w ten tylko sposób uczynił zadość swemu gniewowi, iż niedźwiedzicę jeszcze kilka minut kociołkiem bił, chociaż ta dawno już nie żyła.

Skóra niedźwiedzia szarego należy do najcenniejszych trofeów, jakie kiedykolwiek myśliwy na polu łowiectwa może zdobyć, a jej rzadkość i niebezpieczeństwo z jej zdobyciem połączone, wreszcie odwaga, o której sama daje świadectwo, stanowią łup, którego zdobywca przez całe życie może być dumnym.

Najlepszemi miejscowościami do polowań na niedźwiedzie szare, gdzie się też one najliczniej znachodzą, są okolice górzyste w Bighorn, Windriver, Bear-tooth, Belt-river w Woyming, do których koleją Pacific łatwo można się dostać.

Najlepszą porą polowania na nie są miesiące: wrzesień, październik i listopad. W tym ostatnim miesiącu jednak nie powinien myśliwy za daleko w góry się zapuszczać, ponieważ można tam napotkać głębokie zaspy śnieżne. Wprawdzie jest tam nawet i w lecie na co polować, lecz nie zgadza się to z prawami natury; nie powinien więc też tego czynić żaden prawdziwy myśliwiec. Skóra zwierza w lecie jest prawie bez wartości, podczas gdy w późnej jesieni jest ona najlepszą; także zaś skwar dokuczliwy, prócz tego muchy i moskity są nie do zniesienia.

Najlepszą bronią do polowania na niedźwiedzie szare, są strzelby repetierowe wielkiego kalibru, a w szczególności winczesterowski expres z swym potężnym pociskiem.

Są rozmaite sposoby polowania na nie, najzwyklejszym jednak jest zastrzelić jelenia i następnie przy nim wyczekiwać; przytem można wcześnie rano, lub późno wieczór strzelać, a w jasne księżycowe noce można całą noc czekać, gdyż ogromny niedźwiedź w blasku księżyca na niewielką odległość jest doskonałym celem. Odmiennym sposobem polowania na niego, jest polowanie na podchodne, tak jak na jelenia, a jeżeli się wybierze dolinę, gdzie wiele jagód rośnie, lub jakiś otwarty, kamienisty pagórek, gdzie niedźwiedzie zwykle owadów szukają, lub gdzieindziej jakąś łąkę, gdzie wiele jest tropów niedźwiedzich, to kierując się jakim takim sprytem, można również niedźwiedzia ubić tak, jak przy każdym innym sposobie polowania. Wielu myśliwych zastawia na niedźwiedzia szarego żelaza i sidła; nie jest to jednak po myśliwsku. Na każde zwierzę powinno się w właściwy sposób myśliwski polować; trzeba mu dać szansę, ażeby życie ratował, jeżeli się do tego dość przebiegłym okaże. Polowanie na niedźwiedzie szare należy bezsprzecznie do najpierwszych sportów w Ameryce północnej; niedźwiedź ten jest tam jedynym niebezpiecznym zwierzem, a tem samem niebezpieczeństwo połączone z polowaniem, nadaje temuż powabu, a pomyślny skutek, jest powodem najwyższego zadowolenia.

Każde polowanie ma stosownie do swej istoty mniejszy lub większy powab; żaden jednak człowiek nie czuje takiego wewnętrznego zadowolenia, takiego formalnie wzruszenia, gdy ubije bażanta lub sarnę, jak gdy stoi nad rozciągniętym u stóp niedźwiedziem szarym, którego sam ubił. Jeżeli prawdziwy myśliwiec, który już nie jedno zwierzę upolował, znajdzie się kiedyś na polowaniu na szare niedźwiedzie, a gdy jeszcze nadto sam takiego ubije, ten może już mówić o swoich przygodach. (*Z Jagdztg.*) przeł. *J. St.*

KORESPONDENCYE.

Z gór stryjskich w październiku.

(Polowanie na jelenie.)

Po trzytygodniowym pobycie w kniejach gór Jasieńskich i Perehińskich, z których pierwsze należą do dóbr rządowych, drugie zaś do gr. kat. Metropolii lwowskiej, powróciło trzech myśliwych z polowań, a mianowicie: Książę Henryk Liechtenstein, hr. Lamberg i hr. Andrzej Zamoyski.

Początek rykowiska jeleni był niefortunny, śnieg na dwie i pół stopy leżący i wyrwy ogromne, jakie poczynił deszcz ulewny, sprawiły, iż przystęp do lasu wielce był utrudnionym. Następnie wypogodziło się nieco, śnieg zaczął znikać, ale pora była zawsze nieprzychylna i tylko dzięki prawdziwemu zamiłowaniu i rzeźkości myśliwych została wyprawa pięknym rezultatem uwieńczoną.

Ks. Liechtenstein położył 2 jelenie, a hr. Lamberg 3. Rogi jednego z nich odznaczają się niezwykłą grubością i

rozwartością i śmiało twierdzić możemy, iż na tegorocznej wystawie rogów w Peszcie z końcem t. m. odbyć się mającej, pierwszy medal uzyskać by mogły, gdyby zostały wystawione. Jest to niezaprzeczenie ów jeleń, o którym wspominał hr. Artur Potocki podczas pobytu śp. arcyks. Rudolfa, że go widziano, i który to wprawił arcyksięcia w istny podziw, a uszedł bez strzału, gdyż nie był na strzał według zasad myśliwskich, tj. na połeć, a śp. arcyksiążę przestrzegał ściśle zasad myśliwskich, podobnie jak to zwykł czynić i hr. Artur Potocki, będący niewątpliwie piewszorzędnym myśliwym i strzelcem, o czem mieliśmy sposobność naocznie się przekonać.

Hr. Andrzej Zamoyski położył 3 jelenie, a oprócz tego rozciągnął na miejscu dwoma kulami niedźwiedzia, którego zszedł był przypadkiem podczas podchodu.

Prawo polowania w kniejach górskich Jasienia i Perehińska dzierżawi, jak wiadomo, Artur hr. Potocki, złożony obecnie ciężką chorobą, ku wielkiej żałobie drużyny myśliwskiej i z niepowetowaną stratą dla całego kraju, który odczuwa dotkliwie chwilowy ubytek jednego z najgorliwszych swych obywateli. Jak wszystko, czem się hr. Artur Potocki zajmuje, tak też zarząd polowania w owych pięknych górach odznacza się niezwykłą troskliwością.

Stan jeleni jest znakomity, a pilność straży leśnej podziwienia godna. Zaznaczyć przytem należy, iż i dyrektor lasów skarbowych, p. nadradca Glanz, czuwa nietylko nad gospodarstwem leśnem, lecz troszczy się także i o tę gałąź bogactwa kraju, jaką jest łowiectwo. Jako prawdziwy miłośnik natury, jest w każdym niemal zaułku i wie o wszystkiem.

Wartoby doprawdy, aby który z uczestników polowania zechciał opisać szczegółowo i obszernie przygody owej wyprawy, a znalazłoby się ich niewątpliwie i wiele i ciekawych.

Z.

Śledziejowice 21. października.

(Inwazya dzików.)

Okolica nasza, którą skrzydlata zwierzyna i niewinny szarak objęły w posiadanie, w której pojawienie się lisa lub sarny wywołuje senzacyę, zadziwioną i zaniepokojoną została nagle pojawieniem się niezwykłej drużyny, pełnej rycerskiej postawy i animuszu, przybyłej z dalekich a nieznanych stron. Było to stado dzików, składające się z 16 sztuk. Zdążały one w okolicę bez wielkich lasów, zasianą gęsto wsiami i liczną ludnością, poprzerzynaną licznemi ruchliwemi drogami, tuż pod Wieliczką, pod sam prawie Kraków.

Dziki w naszych stronach są zwierzyną od najdawniejszych czasów zupełnie nieznaną; nikt tu nigdy dzika nie widział, nikt nie słyszał o nim, nawet tradycyi nie było, aby kiedykolwiek dziki do nas zachodziły. Te, co się teraz pojawiły, obległy w 10-morgowym zagajeniu, tuż przy gościńcu. To też w Śledziejowieckim dworze, w nieobecności właściciela, zatrąbiono na alarm i urządzono pospolite ruszenie z czem kto mógł, bez ładu i okładu. Obława ruszyła dziki i jeden warchlak został na miejscu — reszta rozprószyła się w różne strony. Kilka sztuk wpadło do wsi, a jeden warchlak przebiegł nawet przez otwartą sień chałupy, zdążając za lochą ku parkowi w Śledziejowicach. Strzelcy puścili się w ich tropy i za pół godziny spotkali się z niemi w parku. Spłoszone dziki zwróciły się w stronę dworu i tu dopiero przed samym gankiem, na dziedzińcu, locha ugodzona w oko, została na miejscu (ważyła 76 klgr.), reszta zaś skierowała się ku budynkom gospodarskim — wpadła do osztachetowanego ogródka przy stajniach, lecz zdołała się ztamtąd wydobyć i przez wieś podążyła do poblizkiego lasu.

Zmrok dopiero położył tamę pogoni. Nazajutrz rano udano się do lasu, lecz szukano nadaremnie, gdyż dziki na noc wróciły do parku, gdzie ogrodniczki spłoszyły je, uciekając w jednę stronę, a dziki w drugą. Zanim uwiadomiono strzelców, szukających w lesie, dziki znikły bez śladu. Te odwiedziny są czemś tak niezwykłem w naszych stronach, iż uważałem za właściwe podać o tem wiadomość do *Łowca.*

St. N.

Myczkowce 25. października 1889.

(Z myśliwskich wycieczek.)

Gdy tortury, które pewien minister rodak zaprowadził na właścicieli gorzelń, wykonywane przez jego podwładne organa z całą srogością, tak mi dokuczą, iż się przebierze miarka cierpliwości — wtedy psy na sfory, strzelba na ramię i do lasu. Tam chwilowo zapominam, że oprócz tysiącznych szykan tracę tysiące. I dziś leczyłem się w ten sposób — lecz deszcz napędził mnie do domu i pocieszam się pisząc korespondencyę do *Łowca.* A że to będą różne luźne zdania, darujcie, bo to pisze ztorturowany.

Od lat wielu, odkąd poluję (a nie wymieniam liczby tych lat, aby nie skompromitować mej młodości), szukałem słonek co dzień, a najwyżej w parodniowych przerwach i sporą liczbę tychże mam na sumieniu — a nie zdarzyło mi się wszakże ani razu, abym do 23. października ani jednej słonki nie znalazł. W tym roku pierwszą słonkę znalazłem dopiero d. 24. z. m., a była bardzo na mnie łaskawą, bo zgoniona przez legawca z olszyn, siadła przedemną na czystem na 35 kroków Strzeliłem i sądzę, że uwierzycie bez przysięgi, iż ją zabiłem. Dziś widziałem drugą — i na tem koniec. Jak więc widzicie, nie ma słonek w tym roku.

Dziś zabiłem zabawnie lisa. Siedzę w wąwozie pod krzakiem, a obok mnie legawiec; strzelba oparta o krzak, przedemną pole, za którem krzaki, gdzie puszczono psy. Wtem legawiec drgnął i wyprężył się dziwnie; oglądam się i widzę lisa, idącego polem. Chwyciłem strzelbę, strzeliłem i pomogło mu. Jest to 917 w życiu; czy pozwoli Pan Bóg dojść do tysiąca? Gdybym był składał futerka i dał zrobić lisiurę, to chociaż nie jestem ułomkiem, nie byłaby ciasną.

Z początkiem miesiąca polowałem z jednym wolnym psem na rogacza. W uboczy, starym rzadkim lasem zarośniętej, widzę przed psem kozę i dwoje tegorocznych sarniąt, idących ku mnie. Gdy przyszły na 50 kroków, stanęły obok wywrotu starego drzewa. Tu każe mama dzieciom wleźć w jamę, utworzoną przez wydarte korzenie; sarneczki kładą głowy między przednie skoki i leżą, mama zaś stoi nad niemi, a gdy już psa ujrzała, idzie naprzeciw i krótkim galopkiem odprowadza go w przeciwną stronę. Co to może miłość macierzyńska! To samo czynią rogacze, ofiarując się za stado, tylko dorosłe sarny nie kładą się, lecz kryją się w gąszczu, a rogacz wraca do psa — co wiele razy widziałem — i idzie światami, nie powracając do miejsca, gdzie sarny są ukryte. Skutkiem takiego zwyczaju, u mnie przed nagonką trudno zabić rogacza, bo przyzwyczajony do gonu pies idzie wprost na niego, więc też goniony przez huczków wyprawia sarny naprzód, a sam uderza na ludzi i poświęcając się, ratuje im życie.

Ostatniemi czasy zachwalano „Blitzpatronen" z dużą kapslą. Otóż duża kapsla daje więcej ognia i gwałtowniej zapala proch, ale ma tę wadę, że zrobiona z zagrubej blachy, jeżeli więc sprężyny nie są bardzo silne, a sztyfty dość długie, to patron kłapie.

Tych kilka słów kolegom-myśliwym dla przestrogi. Ja wolę zwykły ale długi patron („Verlängerte Hülse"). w którym mogę pomieścić i silny nabój i dobre przybitki. W słabe naboje u lankastrówek nie wierzę, również w łojone, których spory zapas, aby mnie nie skusiły, do pieca wrzuciłem.

Teofil Żurowski.

Mondzielówka d. 3. października.

(Dziki końmi sforsowane.)

Choć strzelbę od lat trzech powiesiłem na kołek, widocznie Diana nie wymazała mnie ze swoich zastępów i obdarza mnie swemi względami, snać dlatego, że nigdy wobec tej bogini nie wykroczyłem.

Otóż dnia dzisiejszego musiałem sobie przypomnieć minione lata i zaopatrzywszy się w patrony z kulami, w deszcz i okropne błoto, wyjechałem na dziki, które zabłąkały się w naszą bezleśną okolicę. Pięć dzików nadeszło od strony Podhajec, przebrnęły w rogu staw, popłoszywszy klacze i źrebięta nad stawem się pasące i podążyły do kilkomorgowej olszyny. Tam je służba folwarczna na spółkę z pastuchami wiejskiemi internowała, tak, że nadjechawszy, zastałem lasek obstąpiony, a dziki we środku. Po drodze spotkałem też kilku konnych, ekonoma, stajennego i kilku fornali na koniach, pomimo, że podobnej dyspozycyi nie dałem, a pługi powyprzęgane. „Pospolite ruszenie!" — pomyślałem — Nie skończę ziembli, jak jeszcze kilka razy dziki zawitają. Ale udałem, że nie widzę tej kawalkady, i ruszyliśmy razem na to niezwykłe polowanie.

Nadjechawszy, zastaliśmy, jak wyżej wspomniałem, dziki internowane. Stanąłem sam jeden z bronią w ręku, bo nie było czasu dać znać sąsiadom, i pogonka ruszyła. Dziki przestraszone, rozprysły się oczywiście w różne strony. Jeden wypadł na ekonoma, jadącego na skrzydle i podążył w pole. Ekonom, nie mogąc wstrzymać swej żyłki myśliwskiej, ruszył za nim z kopyta i po pogoni mniej więcej siedmiu kilometrów dzik tak się umęczył, że go fornal widłami zakłuł. Drugi dzik znikł, dwa przedtem wyniosło się w pole, a trzeci wyszedł odemnie dość daleko, tak, że z gładkiej broni strzeliłem mu dwa razy na wiwat i pożegnałem go tą salwą. Stajenny mój wszakże nie dał za wygranę; pojechał za nim na mojej szkapie wierzchowej i wziął go bardzo niedaleko. Dzik zmęczony siadł w rowie, a tam go dojechali chłopaki od pługów i ubili.

J. Krzysztofowicz.

Kolbuszowa d. 22. września.

(Warunki łowieckie w Kolbuszowskiem i Gorlickiem. — Lis w kojcu.)

Powiada przysłowie: „Poznać pana po cholewach, gospodarza po stogach, a myśliwego po zwierzynie." O ile pierwsze i drugie twierdzenie nie zawsze z prawdą licuje, o tyle ostatnie w obrębie dóbr Kolbuszowskich staje się niezawodną miarą zwierzostanu i wzorowego gospodarstwa łowieckiego. Aby mieć pojęcie o ilości zwierzyny pielęgnowanej troskliwie przez właściciela Kolbuszowy, hr. Tyszkiewicza, dość jest wyjść z wyżłem w pole na spacer. Z pewnością co 200 do 300 kroków wystawi pies zająca, który spędzany nawet kijem, nie chce rwać się do pomykania i i dopiero gwałtem zmuszony do wyruszenia z kotliny, kica z wolna, strzyże słuchami i kołkując, co chwila ogląda się ciekawie na śmiałka, co się poważył przerwać mu popołudniową drzemkę. Jako dowód powyżej naprowadzonych okoliczności, niech posłuży następujący wypadek:

W dniu 15. września, ku wieczorowi, wyszedłem z wyżłem na spacer, a krocząc szeroką, pomiędzy ornem polem ciągnącą się miedzą, tak zwanemi „sugłówkami", aż pod las hr. Tyszkiewicza, rzuciłem się na ziemię, aby wypocząć. Zapaliwszy papierosa, przywołałem wyżła do nogi i kazałem mu leżeć tuż obok siebie. Słońce, zachodząc, kryło się już gdzieś za wieńcem czarniejących w oddali lasów i rozpoczął się w lesie ten charakterystyczny, a każdego myśliwego w taki zachwyt wprowadzający szmer traw i krzaków, sprawiany przez wyruszającą z legowiska zwierzynę. Wtedy to, przysłuchując się temu szmerowi, spostrzegłem, jak zając, wyszedłszy z lasu trochę poniżej od miejsca, gdzie leżałem, przykicał z wolna do mnie i zakołkował w oddaleniu najwięcej 20 kroków. Z początku przypatrywaliśmy się sobie ciekawie, lecz wkrótce ciekawość zajęcza wydała mi się zanadto zuchwałą, chciałem więc dać poznać szarakowi, że strategiczna pozycja moja silniej jest obsadzona, niż jego i rzekłem pocichu do psa: pilnuj! Pies podniósł się i wyprężywszy ogon, stanął w pozycyi, jaką zwykł przybierać przy wystawianiu zwierzyny, a ciągnąc wiatr rozdętemi nozdrzami, zaczął smakować zajęcze aroma, mlaskając przy tem z cicha językiem. Zając, spostrzegłszy poruszenie psa, zdziwił się nieco, lecz nie umykał bynajmniej, tylko kicnął parę razy w półkole i zakołkował ponownie. Pies natomiast, ciągnąc za zającem nietylko nosem, ale i oczami, zatoczył także półkole w ten sposób, że ja stanowiłem oś, a pies igłę magnetyczną, wreszcie stanął również tak samo, jak poprzednio. Zdziwiłem się niezmiernie taką niezwykłą u zająca niepłochliwością, a chcąc się ostatecznie przekonać o jego odwadze, kazałem psu pójść dalej. Skoro pies postąpił parę kroków naprzód, zając nietylko, że nie umknął, ale jakby na kpiny, przybalansował napowrót na poprzednie miejsce i usiadł znów kołkiem. Pies, rozumie się samo przez się, zakreślił za zającem taką samą ewolucyę. Ubawiwszy się tym widokiem do syta, postanowiłem ukarać zuchwałość zająca; podniosłem się więc trochę i rzuciłem nań laską. Dopiero tym argumentem zmusiłem szaraka do ucieczki.

Że zające prezentują się tutaj jak domowe króliki, nie ma nic dziwnego, jeśli się weźmie na uwagę, iż hr. Tyszkiewicz, jak słyszałem z opowiadania, szanuje bardzo zwierzynę i trzyma wszystko żelazną dłonią w karbach posłuszeństwa. To też straż leśna i polowa, majac takiego rozkazodawcę na czele, wytęża wszystkie siły, aby usunąć warunki, działające szkodliwie na rozmnażanie się zwierzyny. Sam przekonałem się, że nie widać tutaj nigdzie ani kotów, ani psów wałęsających się po polach, a nawet, co jest najważniejsze, i o kłusownikach trudno dostać języka.

Lecz nietylko zające są tu tak łaskawe. Nawet kuropatwy, zazwyczaj płoche jak panienki, nabrały tu maniery poważnych mężatek, bo skoro która, jak mężatka do kadryla, zerwie się do lotu, to zaraz siada napowrót, gotowa raczej z myśliwym prowadzić „rozhowor", niż jak panna hasać bez wytchnienia. Wprawdzie i tu mają kuropatwy brzydki zwyczaj latania tak szybko, że je trafić trudno, ale to już wada małoznacząca wobec ich zalety zapadania po strzale bardzo blisko od miejsca, gdzie spłoszone zostały. Wobec tak chwalebnego zwyczaju, uda się czasami skonfundowanemu myśliwemu poprawić „pudło" i przyjść kilka razy do strzału.

Dobry przykład hr. Tyszkiewicza oddziaływa widać pouczająco i na dzierżawców prawa polowania na gruntach

gminnych, ponieważ miałem sposobność brania udziału w polowaniu u jednego z tutejszych dzierżawców i przekonałem się, że zwierzyny, a mianowicie zajęcy i kuropatw było, jak na dzierżawcę, stosunkowo dosyć. Sarn ma być u hr. Tyszkiewicza tyle, iż z zupełnym spokojem sumienia możnaby się postarać o zezwolenie zmniejszenia ilości takowych. Jeżeli los zdarzy, że będę może kiedyś miał sposobność zabrania bliższej znajomości z niemi, to nie omieszkam o tem *Łowca* uwiadomić.

Wobec takiego stanu rzeczy, wydaje mi się po Gorlicach, żem się dostał, jeżeli nie do raju, to przynajmniej do jakiejś zaczarowanej krainy, gdzie zające dają przedstawienia cyrkowe, a kuropatwy, przekrzywiwszy głowę, przyglądają się myśliwemu, jak swojskie kury krążącemu w powietrzu krogulcowi.

W okolicy Gorlic stan zwierzyny jest tak lichy, że brak wyrazów na określenie owej pustki, i dość powiedzieć, iż na polowaniach, urządzanych przez dzierżawców prawa polowania, a nawet samych właścicieli, pada na sześć, ośm strzelb, po całodziennej, nader męczącej wędrówce, ledwie dwa do czterech zajęcy, i to znaczy wtenczas, że polowanie się udało, ponieważ bywają i takie wypadki, że nietylko, iż niczego się nie ubije, ale nawet niczego się nie ujrzy. Powodem tego, jak się zdaje, nie jest nic innego, tylko wielka ilość psów i kotów, wałęsających się po polach, tudzież formalna mania kłusowników do chwytania zwierzyny na sidła druciane, które znaleść można prawie wszędzie po krzakach już ponastawiane, tak, że nawet jest niebezpiecznie wychodzić z wyżłem na polowanie, bo pies bardzo łatwo złapać się może w pierwszych lepszych krzakach. Trafiło się to i mojemu psu, który życie zawdzięcza jedynie tej okoliczności, że złapał się tylko za nogę i skomleniem przywołał mnie na pomoc. A temu opłakanemu stanowi zapobiec prawie niepodobna, ponieważ chaty wiosek tamtejszych są tak rozrzucone, iż oddalenie jednej od drugiej wynosi czasem parę kilometrów. Przytem cały teren jest poprzerzynany jarami, w których rosną krzaki, a tam pierwszy lepszy chłop pod jakimkolwiek pozorem, o każdej porze dnia, sidła bez najmniejszej obawy nastawić może, gdyż straż dopilnować go nie zdoła. Bądź co bądź, zdaje mi się jednak, że przy dobrej woli ze strony obywateli i jakiem takiem szanowaniu zwierzyny, możnaby to złe zredukować do stanu znośnego.

Jako dalszy powód zbyt małego stanu zajęcy, można przyjąć także wielką ilość lisów. które śmiałość swoją w Gorlickiem posuwają do tego stopnia, że włażą żydowi do kojca z gęsiami. Prawdziwe to zdarzenie nie pieprzone bynajmniej korzeniem łgarstwa myśliwskiego, miało faktycznie miejsce w zimie r. 1887., kiedy panowały silne mrozy i spadły śniegi tak wielkie, że o polowaniu ani myśleć nie było można. Jak strasznie głód tej zimy zwierzynie dokuczał, a nawet lasom dał się uczuć, wiadomo każdemu; głód też zapędził także ostrożnego mykitę w otwarte ramiona śmierci.

Oto pewnego pięknego poranku, około godziny 5 lub 6 rano, kiedy sługa domowa wyszła już po wodę, wchodzi lis do sieni jednego z domów żydowskich, o dwa lub trzy kilometry od rynku gorlickiego i wciska się pomiędzy dwa rozchwiane szczeble aż do środka kojca z karmionemi gęsiami. Że gęsi, na widok takiego gościa, musiały podnieść wrzask co najmniej tak wielki, jak ongi na Kapitolu, to rozumie się samo przez się. To też jak ongi straż kapitolińską, zbudził teraz krzyk gęsi żydówkę, która wstawszy z betów i wyszedłszy bez światła do sieni, wetknęła rękę do kojca i zaczęła macać. Wtem namacała zamiast gęsi coś miękkiego, kudłatego; wrzasnęła: „gewałt“ i padła ze strachu na ziemię. Na ten gwałt wypadł żyd z izby i ze sługą, która tymczasem przyniosła wodę i zamknęła drzwi od sieni, otrzeźwili żydówkę i zaniosłszy ją do izby. zaczęli się wypytywać o powód gwałtu. Przerażona Sura zaledwo wyjąkała: „Ech hab im kojec bei Gäns eppes wołochate gefinden.“ Żyd nastraszył się i zaczął już różnemi sprzętami drzwi zabarykadowywać, lecz w końcu nabrał nieco odwagi, zaświecił lampkę i dalej ze sługą na oględziny. Zbliżywszy lampkę do kojca, zobaczył świecące oczy lisa... Dalej więc w nogi, krzycząc: „Gewałt, dus ist a Wołf!“ I byłby z pewnością już więcej z izby nie wyszedł, gdyby nie sługa, chrześcijanka, która rozpoznała skulone w kojcu zwierzę i powiedziała żydowi, że to lis, za którego skórę można dostać 3 zł. Wtedy dopiero żyd zaczął się stawiać na seryo: „A di Ganef ech werd dir gejben“ wykrzyknął i uzbroiwszy się w siekierę, widły, pogrzebacz od pieca i inne narzędzia mordercze, wyruszył na polowanie do kojca. Rzeczywiście, znalazł tam przykucniętego lisa i po wielu zamachach z „siekierem“, jakoś go ubił, a z brzaskiem dnia rozgłosił po całem mieście niezwykły czyn swej waleczności. Lis był strasznie zmizerowany i chudy, a fakt sam sprawdzić można w Gorlicach u izraelity Jakóba Aleksandrowicza.

Tak więc skończył zuchwały mykita. Po raz pierwszy a może i ostatni, na hańbę swojego rodu, poległ w kojcu z ręki żyda. *Seweryn Junosza Kisielewski.*

Sprawozdania łowieckie.

— W Sanockich górach p. Adam Fedorowicz, c. k. starosta w Rzeszowie położył w październiku jelenia z 23 odnogami („Zwei-und-zwanzig-Ender“). O bliższe szczegóły prosimy p. F., jako znanego myśliwego.

— W Chorostkowie, u hr. Siemieńskiego, ubito w kilka dni 104 słonek około 12. października. Bliższych szczegółów niestety nie mamy — a jednak ciekawemi są zawsze daty przelotu i łowów na tego jedynego w swoim rodzaju ptaka.

KRONIKA.

Na polowaniu dworskiem pod Mürzteg, w Styryi, d. 3. października ubił cesarz dwa jelenie, dziesiątaka i ósmaka; książę Leopold bawarski i w. książę toskański po dwunastaku, major Hartmann dziesiątaka i szóstaka; jenerał adjutant hr. Paar, ubił dziesiątaka i postrzelił łanię. Polowanie, któremu sprzyjała pogoda, zakończyło się o godzinie 1. w południe.

Nowe spółki myśliwskie. Z Krakowa donoszą, że na wzór lwowskiego Towarzystwa łowieckiego pod wezwaniem św. Huberta, zawiązała się w Krakowie „Spółka myśliwska Wisła“ i wynajęła 8.000 morgów lasu na cele myśliwskie. W gronie członków są ludzie różnych zajęć zawodowych, przykuci cały tydzień do biórka lub kantoru i w rzemiośle Nemroda szukają zdrowej gimnastyki ciała.

W Nowym Sączu zawiązało się także Kółko myśliwskie. Na pierwszem walnem zgromadzeniu wybrano prezesem p. prof. Sękowskiego, zastępcą p. Merkla, sekretarza Rady powiatowej, sekretarzem p. Gołąba, a w skład Wydziału weszli pp.: dyr. Kisielewski i adjunkt sąd. Pisztek.

Rzadkie okazy ptactwa otrzymało w ostatnich czasach Muzeum im. Dieduszyckich. Ks. Jan Sapieha z Biłki nadesłał wronę całkiem popielatą, okaz w Muzeum dotąd jedyny i w ogóle do wielce ciekawych kaprysów natury należący.

Z Zamarstynowa przysłano kilka sztuk krzywonosów dwupręgowych, czyli białoskrzydłych (*Loxia leucoptera Nils.*) tak samców jak i samic, odznaczających się białemi prążkami na barkach. Ojczyzną ich jest Europa północno-wschodnia i Azya północna; u nas bardzo rzadkie.

Wilki ukazały się w znacznej liczbie w powiecie kimpolungskim, a 7. z. m. wieczorem napadły na pasące się bydło w Watra Mołdawica, zrządzając wielkie szkody.

W gminie Oross-Volya, w komitacie saroskim na Węgrzech, stoczył pewien stary włościanin okropną walkę z rozszalałym wilkiem. Chłop pędził wieprze na jarmark; dla osłody długiej i męczącej drogi towarzyszyła mu piękna córa. Gdy para zbliżyła się do miejscowości Giralt, pełna dobrych myśli i nadziei zysków jarmarcznych, nagle z gąszczy leśnej ukazał się groźny wilk, rzuca się na wieprza i dusi go w mgnieniu oka. Młode dziewczę, które nigdy jeszcze nie widziało dzikiego zwierza, a w przypuszczeniu, że to duży pies, podniosło nań sękaty kij. W chwili, gdy wilk podskoczył ku dziewczynie, której udało się umknąć, stary rzucił się z całą zaciekłością na niego. Widok był okropny: Na polanie walczył mały człowieczyna ze straszną bestyą. Włościanin miał tyle odwagi i siły, że chwycił wilka za gardło i rzucił go o ziemię tak, że leżał przez kilka chwil, jak nieżywy; nie trwało to jednak długo. Zwierz ochłonąwszy, zrywa się na nowo, jednym susem skacze na plecy 60-letniego starca, wbija swoje kły w skroń nieszczęśliwego i zdziera mu skórę z twarzy. Włościanin, pomimo bolu straszliwego, raz jeszcze rzuca wilka o ziemię, wyciąga prędko długi nóż i przeszywa nim brzuch pokonanego zwierza. Liczna gromadka chłopów, uwiadomiona przez dziewczynę, przybiegłszy na miejsce krwawego wypadku, zabrała ledwie dyszącego bohatera na wóz i odwiozła do szpitala w Giralt. Stary trochę nieprzytomny, gdy mu zwycięstwa winszowano, odpowiedział: „Byłem przecie huzarem!“

Olbrzymie jelenie padły tej jesieni na polowaniach w Węgrzech, całkiem niepodobne do tych wyrodzonych już i częstokroć w niewoli wyrastających jeleni i łań w Niemczech. W marmaroskiej kniei górskiej ubił hr. Władysław Forgach jelenia dwudziesto-dwojaka, t. j. z normalnie rozwiniętym wieńcem rogów o 22 końcach. Jeszcze szczęśliwszym był hr. Tassilio Festetics, gdyż w posiadłości swej Keszthely ubił na podchodne dwudziestaka, a na polowaniu u hr. Beli Szecheny'ego w lasach Ungwarskich drugiego takiego, również o 20 końcach. Ks. Ludwik Esterhazy, polując w końcu października na podchodne w górach Litawskich, w okolicy Eisenstadt, ubił w dwóch godzinach trzy jelenie: dziesiątaka, ósmaka i widłaka. Z końcem zeszłego miesiąca, skutkiem stalszej pogody, było bekanie jeleni w ogóle żywsze niż z końcem września i na początku października.

Biały jeleń. Król Albert saski zastrzelił na polowaniu w Tetschen-Bodenbach jelenia, którego głowa była cała pokryta białą siercią. Skóra oryginalnego jelenia została przesłana do muzeum zoologicznego w Dreźnie.

Reny usiłowano zaaklimatyzować w Niemczech, lecz bezskutecznie. W Brunszwiku, w powiecie Molkenhaus, puszczono do lasów parę tych zwierząt. W maju widziano łanię z cielęciem — później wszakże wszystko troje zginęło.

Polowanie na gemzy (kozice) w Ober-Wölz (w Styryi) w rewirach myśliwskich ks. Szwarzenberga wypadły tej jesieni znakomicie. Polowano od 9. do 14. października, a w ciągu tych dni padło 74 kozic, 1 jeleń, 4 kozły i 2 lisy. W łowach brali udział książęta Jerzy, Karol i Ludwik Schwarzenberg, hr. Franciszek Schlick i inni goście. Ks. Ludwik Schwarzenberg ubił sam jeden 8 kozic.

Łosie. Pod Petersburgiem ukazało się mnóstwo łosi, chroniących się tam z Finlandyi. Jak donoszą dzienniki petersburskie, myśliwi finlandzcy tępią niemiłosiernie tę zwierzynę, która w Finlandyi skazaną jest niemal na wyniszczenie.

Na Szlązku pruskim ubity został zeszłej jesieni w lasach obwodu Trzebnickiego duży łoś, samica, ważąca 205 kilogramów. Przed tym wypadkiem niezwykłym wspominają o ubiciu łosia na Szlązku jeszcze w r. 1776. O trzydzieści lat wcześniej wyginęły już łosie w Saksonii. Jeszcze tylko w lasach Prus wschodnich koło Kłajpedy i Tylży żyją i mnożą się łosie, korzystając z surowego zakazu polowania na nie, i ztamtąd to zapewne zapędziła się jedna samica aż w lasy Szlązka pruskiego.

O rzadkim połowie donoszą z Kelbergu (w okr. Koblenckim). Dnia 12. października b. r. ubito tam dużego kangura, samca, o niebieskawo-szarej sierci, ważącego 30 funtów. Na trzy tygodnie przedtem widziano to niezwykłe zwierzę w tamtejszej okolicy. Przypuszczają, że ubity kangur należy do tych, które puszczono do lasów około Bonn, chcąc je w Europie zaaklimatyzować.

Przeprawy z niedźwiedziami. W gminie Oekörmezö, w Marmaros, wyśledzono w pierwszych dniach października na owsisku całą rodzinę niedźwiedzią i urządzono na nią polowanie. Rezultatem polowania było, że padła stara niedźwiedzica i dwoje młodych. Mniej szczęśliwie powiodło się polowanie w komitacie solskim, na Węgrzech. Wyśledzono tam jednego niedźwiedzia; na polowaniu, urządzonem z tego powodu, powalił niedźwiedź strzelca w śmiertelnej walce i wyrwał mu z uda ciało aż do kości.

O innym wypadku z niedźwiedziem we wsi Ohegy, także w komitacie solskim, pisze *Pester Lloyd* co następuje: Pewna biedna wieśniaczka udała się wraz z dziewięcioletnią córką do lasu na grzyby. Wtem z gęstwiny wyszedł mały niedźwiadek. Dziewczyna uderzyła go suchą gałęzią, co wywołało w potomku rodu niedźwiedziego żywe niezadowolenie, które objawiło się donośnym bekiem. W tej chwili wypadła z gęstwiny stara niedźwiedzica i rzuciwszy się na wieśniaczkę, obaliła ją na ziemię. Dziewczyna, widząc matkę w niebezpieczeństwie, przypadła z tyłu do niedźwiedzicy i poczęła ją szarpać rączkami i kąsać w uszy. Skutkiem tej operacyi było, iż niedźwiedzica, rozmyśliwszy się, porzuciła ofiarę i zniknęła wraz z swym benjaminkiem w głębi lasu. Kobieta leży ciężko chora w domu, niedźwiedzica zaś w kilka dni potem padła od strzału jednego z miejscowych myśliwców.

Z powiatu mścisławskiego, w gubernii mohylewskiej, donoszą *Nowosti*, iż wilki i inne dzikie zwierzęta wytępiły mnóstwo bydła u okolicznych mieszkańców. Zarządzono więc obławę i w dzień wolny od robót w polu, zebrało się około pięćdziesięciu myśliwych i trzystu włościan. W ciągu godziny zabito siedm wilków i kilka sztuk raniono. Wśród gorącej walki, naraz najniespodziewaniej wyskoczył niedźwiedź; myśliwi dali ognia i zranili w bok niedźwiedzia, który, z wściekłością cofnąwszy się w tył, rzucił się na włościan; jednemu z nich oderwał szczękę, drugiemu krzyż złamał; obaj na miejscu skonali. Prócz tego dwóch innych strasznie pokaleczył. Myśliwi dali jednocześnie kilkanaście strzałów i położyli nareszcie dzikie zwierzę trupem. Obławę przerwano, a zasmuceni okropnym wypadkiem myśliwi, zabrawszy ofiary obławy, powrócili do miasteczka.

We wsi Kriwinie, w powiecie nowogrodzkim, dwie włościanki udały się do lasu po maliny i natrafiły niespodzianie na śpiącego niedźwiedzia. Kobiety wydały okrzyk przerażenia, czem przestraszony niedźwiedź, rzucił się na jedną z kobiet, będącą w poważnym stanie i powalił ją na ziemię. Przestraszona towarzyszka nieszczęśliwej pobiegła do wsi, aby zawiadomić o nieszczęściu. Gdy na miejsce wypadku przybyli włościanie, długo odnaleźć kobiety nie mogli, aż nareszcie spostrzegli wystającą z pod skały rękę. Niedźwiedź, zeszpeciwszy ciało kobiety w okropny sposób, wtłoczył trupa pod kamień, a następnie przywalił kupą chrustu i starych pni.

W górach kołomyjskich użalają się mieszkańcy na szkody, jakie tam robią ludziom niedźwiedzie. Mianowicie w Białobrzezce i w Krzyworówni niedźwiedzie robią wielkie szkody.

W Kirlibaba, wiosce graniczącej na południu z Bukowiną, przez długi czas niepokoił mieszkańców ogromny niedźwiedź, który nocą zachodził pomiędzy chaty. Dopiero w ciągu zeszłego miesiąca jeden z wieśniaków schwytał bestyę w zastawione żelaza i łańcuchy. Niedźwiedź odstawionym został do gminy, jako aresztant pod zarzutem rozbójniczego włóczęgostwa.

Z ustawodawstwa łowieckiego. Departament leśnictwa w rosyjskiem ministerstwie dóbr państwa opracował projekt nowej ustawy o polowaniu. Wprowadzone być mają świadectwa, bez których tak myśliwi z profesyi jak i amatorowie łowów polować nie będą mogli. Opłata

za świadectwa mynosić ma po 15 rs. rocznie. Grzywny za strzelanie niektórej zwierzyny będą dość wysokie, tak np. za zabicie samic: jelenia (łani), łosia i sarny po 50 rs.; za zabicie innych zwierząt pożytecznych i ptactwa niektórego po 25 rs., w pierwszym razie z pozbawieniem zupełnem prawa polowania, w drugim wypadku z pewnemi ograniczeniami.

Aresztowanie kłusownika. W okolicy Nowego Szmeksu, polował ktoś ukradkiem na zwierzynę; strzelca, pomimo największej usilności, żandarmerya wyśledzić nie mogła. Był to ogrodnik z Nowego Szmeksu, namiętny myśliwy, który większe miał zamiłowanie w zwierzynie niż w kwiatach i przez dr. Hohenauera w d. 1. sierpnia b. r. odprawionym został. Nie oddalił on się jednak z okolicy, lecz nocował to w tej chacie, to w innej, a nawet na leśnictwie i żył z kradzieży zwierzyny, którą upolowawszy, sprzedawał chłopom. Niedawno upolował ogromnego dzika, którego mięso sprzedawał w Mühlberg po 15 ct. za kilo Zawiadomiona o tem żandarmerya, zaszła go niespodziewanie, ćwiertującego mięso, i ujęła po gwałtownym oporze. Na szczęście nie miał pod ręką strzelby. Olbrzymi dzik, mający 280 kilogramów wagi, odstawiony został na wozie do Nowego Szmeksu, gdzie mieszka dr. Mikołaj Szontag, dzierżawca polowania, i gdzie goście, których pewna liczba tam bawi przez zimę, tem bardziej wspaniałego zwierza podziwiali, że od jednego strzału położonym został.

Szwedzkie polowania dworskie, o ile się zdaje, nie są urządzane z odpowiednią przezornością. Oto bowiem na jednem z ostatnich, jak donoszą ze Sztokholmu do dzienników niemieckich, szwedzki następca tronu otrzymał w piersi cały postrzał śrócin i tylko dzięki grubemu kaftanowi skórzanemu, nie odniósł niebezpiecznej rany. Na temże samem polowaniu, jeden z poganiaczy dostał nabój śrócin w udo i został dotkliwie pokaleczonym.

Dzielny słoń. Departament robót publicznych na Cejlonie utracił sługę, który mu przez 65 lat poświęcał swą olbrzymią siłę. Słoń Sella należał początkowo do ostatniego króla Kandy, dopiero r. 1815., wraz ze stu innemi słoniami przeszedł w posiadanie rządu angielskiego, właśnie kiedy Anglia zapanowała nad Cejlonem. Wtedy liczył on lat piętnaście. Bardzo często używano Selli do polowania na dzikie słonie. Przed trzema laty oślepł, ale mimo to pracował ustawicznie, zaprzągnięty do pługa. Było to wspaniałe zwierzę, ośm stóp wysokie, z potężnemi kłami.

Złośliwy słoń w ogrodzie zoologicznym berlińskim, o którego nieudałej egzekucyi podaliśmy wiadomość w przeszłym numerze *Łowca*, nie został dotąd zgładzony. Jak wiadomo zarząd ogrodu, postanowiwszy pozbyć się złośliwego zwierzęcia, skazał go na karę śmierci przez uduszenie i... nie wykonał tej kary, z powodu, iż lina druciana, którą chciano olbrzyma udusić, pękła przy pierwszem pociągnięciu. W październiku chciano powtórnie wyrok śmierci na Rostomie (nazwa olbrzyma) spełnić, ale i tym razem lina pękła, a słoń, podniesiony w górę za pomocą maszyny parowej, spoczął na ziemi nieuszkodzony i... widocznie kontent był bardzo z tego figla, jaki z nim wyprawiono. Powstało jednakże przeciwko temu miejscowe Towarzystwo opieki nad zwierzętami i zrobiła się ogromna burza, zwłaszcza, że i publiczność poczęła protestować przeciw mękom, zadawanym zwierzęciu. Pojawił się więc obszerny komunikat, w którym zarząd ogrodu stara się usprawiedliwić ze swego postępowania. Otóż powiedziano w tym komunikacie, że chcąc się pozbyć zwierzęcia, które kąsa, bije i nikomu prawie nie da się zbliżyć do siebie, miano do wyboru cztery rodzaje śmierci: 1. Za pomocą elektryczności; zachodziła jednak obawa, że maszyna, którą ogród rozporządza, nie zdoła uskutecznić czekającego ją zadania. 2. Zastrzelenie; obawiano się atoli, że strzelec, choćby najcelniejszy, może chybić, a wtedy zranione i rozszalałe zwierzę mogłoby się stać groźnem dla całego swego otoczenia. 3. Truciznę; ale gdy jeden z pierwszorzędnych famaceutów i znawców trucizn oświadczył, iż nie podejmie się sporządzić trucizny, o której mógłby być przekonanym, że skutek swój zdoła szybko wywrzeć na takim olbrzymie, postanowiono więc ponownie: 4. Uduszenie. Poczyniono najściślejsze, o ile się zdawało, obliczenia co do wytrzymałości liny; przygotowano wielką maszynę parową; pilnowano, aby pętlica dobrze była olbrzymowi na szyję założona i wszystko to zawiodło. Lina pękła, zanim słoń poczuł, że jest w górę unoszony. „Obecnie — powiada zarząd ogrodu — zaniechaliśmy już zupełnie myśli zabicia Rostoma, a co do zarzutu, iż sprawialiśmy mu niepotrzebne męczarnie, zbija go zupełnie fakt, iż zwierzę, po udaremnionych usiłowaniach naszych, było w jak najlepszym humorze i wyrażało swoją radość z figlów, jakich z niem próbowaliśmy.“ A więc Rostom nie dał się — i żyć będzie...

Zmyślność psa. Berliński *Reichsbote* opowiada, co następuje: Właściciel młyna w Ober-Spreewalde, w okolicach Berlina, posiadał sukę z gatunku psów z góry św. Bernarda, która dowiodła niezwykłej zmyślności. Karmiła ona troje młodych szczeniąt, a mianowicie dwa silne i jednego wątłego bardzo pieska, który z każdym dniem jeszcze wątlejszym się stawał, ponieważ dwaj tężsi jego bracia, na mocy smutnej zasady o prawie mocniejszego, umieli go zawsze ubiec przy ssaniu, a on niezdara, nic na to nie mógł poradzić. Znalazła jednak radę stara matka, spoglądająca na tę niesprawiedliwość z widocznem nieukontentowaniem. Oto, pewnego dnia, oba silniejsze pieski zniknęły bez śladu. Właściciel, posądzając jednego z parobków o kradzież szczeniąt, chciał już wnieść skargę przeciw niemu, gdy wtem zjawia się inny ze służących, oświadczając, iż suka w pewnych godzinach, zarówno zrana, jak i po południu, gdy już nakarmi słabego pieska, znika z domu na całą godzinę i przepada gdzieś w lesie. Zaciekawiony właściciel suki postanowił ją śledzić — i cóż się okazało? Oto suka wywabiła do lasu oba silniejsze szczenięta, zapędziła je do starej jamy lisiej, z której o własnych siłach wydostać się nie mogły i tam je dwa razy dziennie odwiedzała, zawsze jednak dopiero wtedy, gdy już słaby ich brat był dobrze nakarmiony. Właściciel postanowił nie przeszkadzać tej macierzyńskiej roztropności i odtąd słaby piesek chował się coraz lepiej, a i tamte wcale na wadze nie straciły.

W Paryżu zdarzyło się, że pewna pani przyprowadziła do komisarza policyi dziewczynkę dwuletnią, która nie umiała powiedzieć swego nazwiska, ani wskazać miejsca zamieszkania rodziców. Z dziewczynką szedł mały piesek. Komisarzowi policyi przyszło na myśl, że piesek możs doprowadzić do domu zgubioną dziewczynkę. Wyprowadzono dziecko z psem na ulicę i istotnie piesek po chwili namysłu — jak gdyby rozumiał, czego od niego żądają, — puścił się śmiało w pewnym kierunku i po kwadransie drogi, stanął przed domem nr. 15 u pani Saunier, gdzie mieszkali rodzice dziewczynki.

O śmiałości wróbli podaje *Berger Ztg.* następującą zabawną historyę: Pewien właściciel ogrodu, chcąc zabezpieczyć drzewo wiśniowe, obciążone owocem, od żarłoczności wróbli i szpaków, umieścił na niem słomianego stracha, przybranego w stary surdut i kapelusz. Po pewnym czasie właściciel zauważył nieustanne przylatywanie i odlatywanie jednej pary wróbli, widywał również, że jeden wróbel często dłużej na kapeluszu siadywał. Zaciekawiony, chciał poznać przyczynę i ze zdziwieniem znalazł w jednej z bocznych kieszeni surduta... gniazdo wróbla wraz z czworgiem małych piskląt.

Białego całkiem suma otrzymało niedawno temu berlińskie akwaryum, jedynie brzeżki pletw jego są oliwkowo-szaro zabarwione. Długość tego nadzwyczajnego albinosa z rodu sumów wynosi pół metra. Albinizm u ryb należy w ogóle do większych osobliwości, niż między zwierzętami ssącemi lub ptakami. Dotychczas zauważano albinosy jedynie między węgorzami i karasiami. Białego węgorza miało także dłuższy czas akwaryum berlińskie.

Sędziwe żółwie. Na raucie u arcybiskupa Canterbury w Anglii profesor Flower pokazał zebranym gościom godnego uwagi żółwia. Żółw ten żyje już w ogrodzie arcybiskupim od 160 lat. Drugi żółw żył jeszcze dłużej, bo 180 lat w ogrodzie arcybiskupa Londynu, i zginął niedawno z winy ogrodnika, który wykopał go zimową porą z legowiska pod ziemią i zostawił w ciągu kilku dni na mrozie.

Porwanie okrętu przez wieloryba. *Revue des sciences naturelles appliquées* przytacza osobliwą przygodę, jakiej doznał statek „H. B. Griffion“ na wodach północnych. Pewnego dnia, gdy cała załoga wyruszyła na połów ryb, a na statku pozostali tylko kapitan i kucharz, uczuli oni nagle, że statek porusza się szybko, chociaż osadzony był na kotwicy, a żagle były zwinięte. Wybiegłszy na pokład, dostrzegli. że olbrzymi wieloryb zaczepił się tylną częścią ciała o jedno z ramion kotwicy, a wyrwawszy całą kotwicę uciekał, ciągnąc za sobą statek. Odzyskawszy zimną krew, kapitan odciął sznur kotwicy i rozwinął żagle, by dotrzeć do towarzyszy, którzy nie mogli pojąć, co się ze statkiem działo. Wieloryb uniósł kotwicę wraz z łańcuchem i stracono go z oczu.

Kobiety na łowach. „Płeć piękna — pisze warszawski *Kuryer codzienny* — już nie od dziś poluje... Nie jest bynajmniej wytworem współczesnej emancypacyi zajmowanie się polowaniem, fechtunkiem, gimnastyką lub konną jazdą. Nasze „anioły“ mają już tradycyę na tych polach działalności, a kult Dyany liczy wiele najzaciętszych zwolenniczek.

„Trzeba tylko, proszę pani, starać się być piękną, kiedy się ze strzelbą i amunicyą przebiega bory i lasy. Polowanie nie jest przecież rzeczą poważną i jest rozrywką możnych... i dlatego zdaje mi się, że surowi moraliści nie zmyją mi głowy, gdy zawołam: — Zważaj pani, abyś była zręczną i powabną, kiedy stajesz na stanowisku w gronie myśliwych!

„Ostatni przepis na strój myśliwski dla dam brzmi bardzo powabnie. Koszula kolorowa męzka z *surah* lub batystu, buciki i kamasze skórzane, zapięte na guziki, spódniczka fałdowana, zebrana u kolan, stanik zapinany z tyłu z sukna koloru tytoniu hiszpańskiego i delikatnie wyszywany metalizowanemi taśmami, kapelusik filcowy z piórkami, ładownica ze skóry wiedeńskiej jasno-bronzowej, przystrojona stalą z Toledo, mała strzelba z rzeźbami ze złota... Oto wszystko.

„Jest to ostatnie słowo szyku i wytworności. Ale — proszę mi wierzyć — możesz pani z całą swobodą odrzucić zbyt drogie przybory i z właściwę sobie zręcznością i gustem zastąpić je innemi. Będziesz wówczas również piękną, a co najważniejsza, oszczędną. Violette z Paryża sądzi nawet, iż słońce, przeglądające się w stalowej lufie twojej strzelby, mogłoby być jedynym twym, pani, zbytkiem. Niestety, zapomniano o twoim, pani, uśmiechu...“

„Dział wilczy.“ Fejletonista *Kraju*, piszący o malarstwie naszem w sposób humorystyczny, wynalazł „dział koński“, gdzie oczywiście króluje Kossak, a oprócz tego tylko „dział wilczy“, charakteryzując tem trafnie, że w ogóle malarstwo zwierząt i studyowanie ich w naturze — oprócz banalnych koni i wilków — bardzo jest u nas zaniedbane.

„W koniach Kossaka — pisze fejletonista — można się zakochać, przed końmi Brandta należy uchylić kapelusza, pochodzą bowiem ze stada jaśnie oświeconego talentu. Ale te całe tysiące, te dziesiątki tysięcy koni, koników, szkap chłopskich, męczenników żydowskich, te koniki, ciągnące wózki, bryczki, bryczulki, pojazdy, powozy, saneczki, te konie, stąpające po mostach, mostkach i grobelkach, a najczęściej po błocie, mnożą się w sposób taki zastraszający, że niezadługo kopytami swojemi roztratują całą sztukę malarską. Cała odmiana jest taka, że jeden koń jest siwy a drugi kasztanowaty, jeden wiezie żyda, drugi chłopa, a trzeci ekonoma, jeden jedzie w prawo, drugi w lewo, jeden wyjeżdża z lasu, a drugi wjeżdża do lasu, jedne konie stoją przed karczmą, a drugie przed dworem, jedne zaprzągnięte są do wózka zielonego, drugie do żółtego — jednych furman ma czapkę barankową, a drugich kaszkiet.

„Z tym działem końskim łączy się *dział wilczy*. „Polowania na wilki“, „Spotkanie z wilkami“, „Ucieczka przed wilkami“ — oto tytuły, które wciąż widnieją pod obrazami niektórych malarzy. Historya zawsze jedna i ta sama. Na ziemi pełno śniegu, konie, i to zawsze czarne, rwą się w ucieczce; z saneczek dwóch albo trzech jegomościów, stosownie do potrzeby, daje strzały do lecących wilków. Jeden obraz od drugiego różni się tem, iż na pierwszym jeden, na drugim dwa wilki pada pod strzałem pędzla artysty, lub też zamiast pięciu wilków po prawej, a jednego po lewej stronie, mamy pięć po stronie lewej, a jednego po prawej. I to już wszystko. Ach! prawda — na każdym takim obrazku są jeszcze krzaki. Wilcze te obrazki robią się zwykle dla zagranicy, która też ciekawe musi mieć wyobrażenie o naszych stosunkach, zwłaszcza, iż liczba wilków malowanych jest znacznie większą od żyjących. Przy sposobności należałoby zapytać naszych panów malarzy, dlaczego taki wstręt czują do wszelkich innego rodzaju zwierząt czworonożnych i ptaków? Jeszcze psa od czasu do czasu to który z nich wymaluje, ale bydło, owce, ptactwo domowe lub jelenie, dziki, nie są w łasce u naszych malarzy, a przecież tego rodzaju malarstwo kwitnie na całym świecie. Bodaj czy nie główna w tem przyczyna, że konika weźmie się żywcem od Kossaka, a indyka lub krowę trzeba samemu studyować.“

Czy zwierzęta się rozumieją? Do augsburgskiej *Abendztg.* piszą z Ingolstadt, w Bawaryi: „Donoszą nam o wypadku, który stwierdzić mogą naoczni świadkowie. Dwa konie, należące do pewnego oficera stoją w stajni zupełnie obok siebie. Jeden z tych koni otrzymuje we dnie i w nocy grubą warstwę podściołki; drugi zaś tylko w nocy, aby nie jadł za dużo słomy. Stajenny zdziwił się też nie mało, gdy przez kilka dni z rzędu w przedziale drugiego konia znajdował we dnie źdźbła słomy. Ponieważ codziennie rano wymiatał starannie słomę z tego oddziału, zjawiska powyższego nie umiał sobie zrazu wytłómaczyć. Postanowił zatem rzecz tę zbadać. Patrzył więc pilnie przez okno na to, co się dzieje w stajni; wkrótce spostrzegł, jak pierwszy koń przez kratę przerzucał drugiemu słomę, którą drugi chciwie chwytał. Ilekroć oba konie dostały słomy, zjawiska tego nie można było zauważyć. Czy pierwszy koń podawałby słomę swemu sąsiadowi, gdyby nie wiedział, że ten jej pragnie? Zdaje się zatem, że zwierzęta mają jakiś sposób porozumiewania się pomiędzy sobą, czego przyrodnicy dotąd nie zbadali.“

U doktora. — Powiedz mi, kochany doktorze, czy słonki są zdrowe?
— Nie wiem; do mnie nie przynoszono żadnej na kuracyę.

Redakcya podaje do wiadomości, że w ciągu b. m. wyjdzie w ozdobnej oprawie **kieszonkowy kalendarz „Łowca“ myśliwski, rybacki i leśny na r. 1890.**, stanowiący niezbędny podręcznik i notatnik dla myśliwych i leśników, i będzie kosztował **1 zł. wa. = 1 rs. = 2 marki.**

Za Redakcyę i Wydawnictwo odpowiedzialny: **Władysław Zontak**, ul. Teatralna Nr. 18. Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie